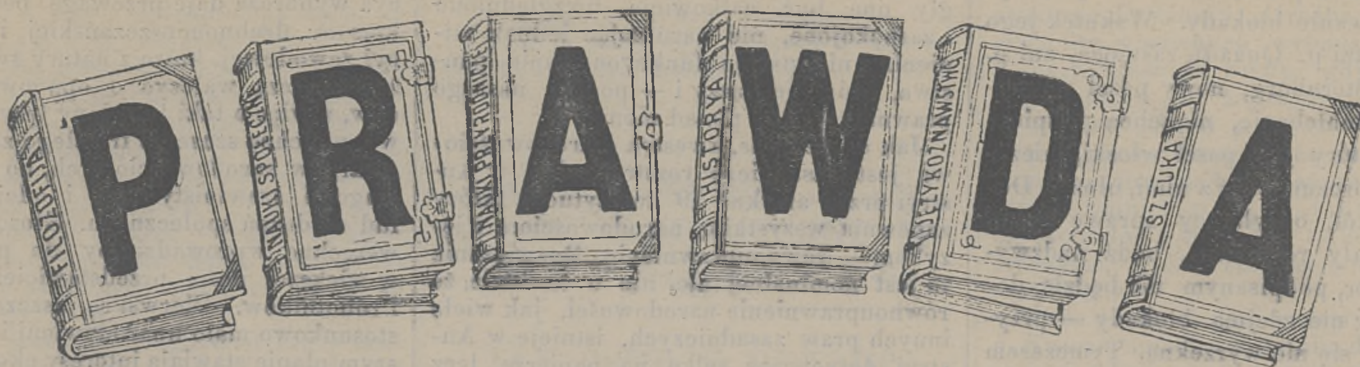
Nr. 7 (1155). Warszawa, 1 (14) Lutego 1903 r. **Rok XXIII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Cesarz Wilhelm w Ameryce.

Minęło już półtrzecia miesiąca od chwili doręczenia *ultimatum* niemieckiego prezydentowi Wenezueli; minęły dwa miesiące od rozpoczęcia blokady (9 grudnia), a dotychczas jeszcze nie ułożono nawet zasad, na jakich spór ma być rozstrzygnięty przez sąd, którego samo wskazanie również należy jeszcze do przyszłości. Niemcy miały czas pozatapiać i porabować statki wenezuelskie, ostrzeliwać La Guayrę, port Caracasu, napaść na Puerto Cabello, posiać trwogę i zniszczenie, zbombardować metodycznie bez wyzwania, tylko dla nasycenia namiętności bojowej — swych dział i swych artylerzystów, fort San Carlos, u wejścia do zatoki Maracaibo (17 i 21—23 stycznia); miały czas blokadą swą zadać głęboką ranę handlowi Wenezueli, która żyje tylko z morza, zdążyły i samym sobie i państwom sprzymierzonym wyrządzić krzywdą pośrednią przez uszczuplenie dochodów i zmniejszenie środków rozporządzalnych, którymiby pretensye ich rychlej zaspokojone być mogły: nie spóźniły się z niczem, co miało charakter wstępu do wojny — tylko się spóźniają z pokojem, który przecież i dla nich i dla ich sprzymierzeńców jedynem wyjściem rozsądnem z awantury być musi.

Polityka niemiecka, polityka osobista cesarza niemieckiego — są przyczyną tej zwłoki, która na innej widowni, przy innych warunkach, byłaby niemożliwą. Całe to opóźnienie, wszystkie szykany Niemiec to targowanie się o miesiące i dni, o dwa lub trzy odsetki mniej więcej z dochodów biednego państewka—jest dziełem politycznej mądrości, mocarstwowego samopoczucia. Tak, Niemcom smakuje wojna, choćby tylko było jej tyle, ile być może w blokadzie, chwytaniu okrętów, ostrzeliwaniu fortów i niszczeniu niewinnych wiosek, że przynajmniej chcą jak najdłużej się nią raczyć i rozmyślnie umowę, uśmierzającą spór, opóźniają. Na pokój będzie zawsze dość czasu, a wojna ucieknie.

Zrobiliby wojnę prawdziwą, mialiby zwycięztwa i tryumfy, gdyby nie Stany Zjednoczone — gdyby nie Monroe. Zwycięzkie wojska dawnoby już tryumfalnie przeszły przez ulice Caracasu, a flota paradowałaby po zatokach i portach wenezuelskich, gdyby nie to *minimum* energii, na jakie zdobył się, zdobyć się musiał, Roosevelt, biorąc odrazu sprawę w swoje ręce przez narzucenie Bowena na pośrednika i sprowadzenie dyplomacyi trzech mocarstw działających do Waszyngtonu na układy. Nie przeszkodziłaby im Anglia, wiedząc, że ostatecznie noga niemiecka nie wrośnie w grunt południowo-amerykański, dopóki na północy twardo depce ziemię stopa amerykańska; pozwoliłaby się zabawić, tylkoby sama od zabawy się usunęła. Całe to sprzymierzenie się jej z Niemcami odrazu wyglądało na dyplomatyczną uprzejmość. Ministrowie pozwolili działać samemu królowi; król dał słowo, ministrowie dotrzymać go musieli, zakreślając sobie jednak koło o maleńkim promieniu, którego nie przekroczą: blokada, bez gorliwości wykonywana, złapanie jednego, drugiego statku, a potem układy o spłatę należności. Domniemywanie się poważniejszych a ukrytych zamiarów Anglii, mianowicie na Panamę, nie wytrzymuje próby ani jej dotychczasowego postępowania, ani nastroju opinii angielskiej, ani środków użytych lub przygotowanych do celu.

Wystąpienie Francyi z pretensyami do 13% z ceł, przyrzeczonych już dawniej, gdy trzy mocarstwa sprzymierzone żądają dla siebie 30%, może być skutkiem umyślnego jej wciągnięcia dla wstrzymania zapędów niemieckich. Władca Niemiec chciał, aby do czasu spłaty całkowitej należności, o które się upominają trzy mocarstwa sprzymierzone, z tych 30% nikt inny zaspakajanym nie był, a więc ani Francya, ani Belgia, ani Holandya. Wenezuela jest za uboga, aby mogła odejmować sobie z głównego swego źródła jakie 45—50%: pragnie zatem dopuszczenia do podziału z 30% wszystkich wierzycieli, a dopiero to, czegoby Francya nie otrzymała z podziału, Wenezuela musiałaby jej z dalszych po nad 30% dochodów dopłacać. Pośrednik Bowen zajął takie stanowisko, ale cesarz Wilhelm nie daje się na nie ściągnąć; nie chodzi mu o zaspokojenie kupców i spekulan-

tów niemieckich natychmiast, chodzi mu o zadowolenie z pierwszeństwa i jak najdłuższe używanie blokady. Wskutek jego instrukcyi ani p. Quaadt, zastępca, ani p. Speck von Sternburg, nowy poseł po wypędzonym Hohlebenie, nie chcą podpisać protokółu, który już poseł włoski, niezawodnie w porozumieniu z nimi, ułożył. Dopóki protokół, odsyłający sprawę przed sąd, bądź stały rozjemczy, bądź nadzwyczajny *ad hoc*, podpisanym nie będzie, dopóty Niemcy nie zdejmą blokady — przyjemności tej się nie wyrzekną. Tymczasem kraj biednieje, ludność cierpi, głód na pomorzu się szerzy, tylko angielską wyrozumiałością i żywnością powściągany — i nie wiadomo, kiedy nareszcie skończy się ta brandenburska impreza. Gdyby sumienie miało głos w polityce, dyplomacya europejska powinnaby sobie zadać pytanie: czy ogładzanie kraju blokowanego jest istotnym żywiołem blokady i czy uczucie ludzkości, nic niekosztującej, niczego nienarażającej, nie nakazywałoby tego nadużycia znieść?

NOWA TEORYA narodowości i państwa w Austryi.

I.

Rozdzierające wielojęzyczną Austryę walki narodowościowe, w pierwszym rzędzie— wojna domowa Czechów z Niemcami i kryzys, jaki z tego powodu państwo przechodzi, pobudzają umysły poważniejsze ludzi, którzy nie chcą, aby się Austrya rozpadła, lub też nie spodziewają się, aby to nastąpić mogło w czasie dającym się przewidzieć, do rozmyślań nad sposobami rozwiązania w niej kwestyi narodowościowej. Rzadko jednak pomysły te bywają ciekawe, zwykle nacechowane rutyną centralistyczną, albo pokryte pleśnią t. zw. „praw historycznych,“ ani o krok nie posuwają naprzód tak złożonego zagadnienia. To też na wielką uwagę zasługuje zjawisko wręcz odmienne. Uczony prawnik i doskonały publicysta, Rudolf Springer, w książce swej p. t. „Der Kampf der oesterreichischen Nationen um den Staat“ *) pierwszy postawił zagadnienie stosunku narodowości do państwa specyalnie w Austryi na gruncie naukowym, a próba rozwiązania tego zagadnienia, zrobiona przez niego — choć się na nią w końcu niezupełnie zgodzimy — jest bardzo oryginalna i pouczająca, tembardziej, że ma też znaczenie ogólniejsze.

Springer jest Niemcem austryackim, patryotą państwowo-austryackim i zarazem narodowo-niemieckim; pomimo przekonań bardzo postępowych, zbliżonych pod wieloma względami do skrajnej lewicy społecznej, mówi on nie bez pewnego żalu o tem, że Niemcy nie byliby utracili panowania nad wszystkiemi narodowościami Austryi, nie wyłączając nawet Madziarów, gdyby byli dali narodowościom samorząd lokalny i rządzili niemi w języku każdej z nich, gdyby się nie byli lenili tych „barbarzyńskich“ języków ponauczać. Ale na rzeczywistość ma oczy całkiem otwarte; wie, że to minęło już bezpowrotnie i krytykuje niemiłosiernie swych rodaków za to, że mają jeszcze złudzenia na tym punkcie. Uznaje on narodowości za siły społeczne wielkie, żywe i zupełnie uprawnione, bo wypływające z naturalnych potrzeb ludzkich, i szuka tylko, jakimby sposobem mogły one być całkowicie uwzględnione i zaspokojone, nie naruszając jednak istnienia i nie psując funkcyonowania państwa, które je łączy i — podług naszego prawnika — stoi ponad niemi.

Jak dotychczas, kwestya narodowościowa jest zasadniczo rozstrzygnięta w Austryi przez artykuł 19 konstytucyi, który zapewnia wszystkim narodowościom i językom — równouprawnienie. Rozwiązanie to jest nominalne; ale nie o to idzie, że równouprawnienie narodowości, jak wiele innych praw zasadniczych, istnieje w Austryi dotychczas tylko na papierze, lecz o to, że samo postawienie kwestyi w ten sposób jest wadliwe. Narodowość jest tu pojmowana jako *zasadnicze prawo jednostki*, zupełnie tak samo, jak np. prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce, swobodnego wypowiadania swych poglądów w granicach ustanowionych itp. Narodowości, jako całości, jako zbiorowości — dla konstytucyjnego państwa austryackiego nie istnieją, jak nie istniały dla absolutystycznego; wyraża się w tem zasada atomistyczno-centralistyczna: państwo jedyne, niemające żadnych ogniw pośrednich między sobą a rozproszonemi jednostkami. Mogłoby to być słuszne i wystarczające, gdyby potrzeby i cele, zawarte w pojęciu narodowości, mogły być zaspokojone i osiągnięte w granicach osobistej działalności każdej jednostki, albo co najmniej za pomocą swobodnych stowarzyszeń; ale tak nie jest. Przykład szkoły choćby, która musi być obowiązkową w interesie ogółu, a jednocześnie w interesie każdego narodu musi być narodową, przekonywa, że narodowość dla osiągnięcia swych celów winna mieć cechy organizacyi, panującej nad swymi członkami. Springer nie utożsamia wprawdzie narodowości z państwem; narodowość, zdaniem jego, obejmuje z jednej strony więcej, z drugiej — mniej stron życia, niż państwo; jest ona usystematyzowaniem uczuć i myśli, gdy państwo — organizacyą czynu; szereg czynności więc, które państwo organizować musi, może z punktu widzenia narodowościowego pozostać obojętnym, np. czynności i interesy ekonomiczne. Ponieważ jednak uczucia i myśli bezustanku oddziaływają na czyny i odwrotnie, ponieważ np. wola państwa musi wyrażać się dla jego poddanych w jakimś języku, i taki lub inny jej wyraz językowy niejednakowo wpływa na uczucia i myśli, na sferę ściśle narodową, więc Springer uznaje wraz z Bluntschlim, że każdy naród ma naturalną dążność do zostania państwem, każde państwo — do utożsamienia się z pewnym narodem. Jeśli Austrya nie ma się rozpaść, to ta naturalna dążność jej narodowości musi być w pewnej mierze urzeczywistniona; narodowości muszą otrzymać jakieś funkcye państwowe. Tymczasem dzisiaj, jak wspomnieliśmy, wobec prawa nawet one nie istnieją. Istnienie ich znajduje wyraz jedynie w rozporządzeniach, dotyczących używania takiego lub innego języka w różnych działach administracyi— ale z takim czy innym językiem, administracya cała jest państwowa, w imię państwa i w jego interesie prowadzona. „Pielęgnowanie życia narodowego nie stanowi konkretnego działu administracyi w Austryi, jak np. policya ogniowa albo zarząd wyznań.“

Dopóki panuje taki atomistyczno-centralistyczny pogląd, dopóty kwestya narodowościowa w Austryi nie może być rozstrzygnięta, a zgubna walka narodowości— usunięta, nawet — i tu Springer zrywa z dość często spotykanym frazesem — za pomocą demokratyzacyi instytucyj politycznych. Często się słyszy, że zniesienie przywilejów wyborczych, kuryj feodalnej, mieszczańskiej, chłopskiej itd., a zaprowadzenie czystego, powszechnego prawa wyborczego, uwolniłoby parlament wiedeński od widma szowinizmu ośmiu narodów. Jest to o tyle słuszne, że teraźniejsza ordynacya wyborcza daje przewagę bezwzględną klasom: drobnomieszczańskiej i inteligencyi zawodowej, które z natury swego położenia muszą walczyć o opanowanie urzędów, a więc o taki lub inny język urzędowy, nie chcą szczerze trwałego załatwienia zatargów narodowościowych, bo żyją z demagogii szowinistycznej i odciągają nią lud od dążeń społecznych. Głosowanie powszechne wprowadziłoby do parlamentu w większej ilości przedstawicieli chłopów i robotników. Pierwsi są jeszcze wszędzie stosunkowo mało unarodowieni i na pierwszym planie stawiają interesy ekonomiczne, które są jednakowe u chłopów wszystkich narodowości. Drudzy mają większą świadomość narodową, ale wolni są od szowinizmu, okazują tendencye międzynarodowe i również na pierwszym planie stawiają swe interesy ekonomiczne, jednakowe dla tej klasy we wszystkich narodach. Prawda, że w pewnych warunkach demokratyzacya znosi niesprawiedliwe panowanie mniejszości narodowej nad większością: gdyby np. na Morawach wprowadzić zamiast dzisiejszego misternego systemu kuryj czyste powszechne prawo wyborcze, to Niemcy, którzy stanowią 30% ludności, nie mogliby mieć większości w sejmie, to samo stosuje się i do Śląska. Ale nie trzeba się łudzić pod tym względem: nawet całkowicie przeprowadzona demokratyzacya nie usunęłaby kwestyi narodowościowej, lecz postawiła ją dopiero w nowej formie: całe masy jednej narodowości przeciwko całym masom drugiej —walczyłyby nadal o władzę, a jedna krzywdziłaby drugą. „Im bardziej—mówi Springer — uspołecznia się człowiek i żywiej uczestniczy w życiu publicznem, tem silniej zarząd państwowy przystosowywać się winien do narodu, tem intensywniejszą stawać się musi kultura narodowa. Im większa oświata ludu, im liczniejsza inteligencya, tem łatwiej nawet małym narodowościom przychodzi wytworzyć literaturę i kulturę narodową, tem łatwiej opierają się one wchłonięciu przez większe, pomimo że klasa inteligencyi zmuszona jest uczyć się języków obcych. Kwestya narodowościowa musi się więc coraz bardziej pogłębiać i rozszerzać z postępami demokratyzacyi i uspołecznienia.“ Demokratyzacya jest jednak bez wątpienia wielkim krokiem naprzód ku jej rozwiązaniu, ponieważ usuwa trudności sztuczne, okoliczności maskujące stosunek sił, i wyprowadza na czoło warstwy zdolne do rozumnego i pojednawczego traktowania sprawy.

K. Radosławski.

*) Leipzig und Wien, Deuticke, 1902.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

D. 31 z. m. Izba francuska odrzuciła 325 gł. przeciw 215 wniosek Sembata o zniesienie ambasady w Watykanie. Komisya Izby przez sprawozdawcę swego, Maujeana, popiera służbę dwuletnią w wojsku, zaleconą już przez rząd. W pokoju będzie miała Francya 600,000 żołnierzy, w wojnie odrazu przeszło milion. Maujean zaczął swoje przedstawienie od zapewnienia, że Francya nie szukała się żadnego ze swych pragnień: odpowiedź Jaurèsowi.

Zmarł (dnia 31 stycznia) były minister w „wielkiem ministeryum“ i później w gabinecie Casimir-Perriera — Raynal.

Jaurès chce wskrzesić sprawę Dreyfusa, a raczej sztabu generalnego, w nim zaś głównie Merciera; wykaże, iż dla potępienia Dreyfusa sztabowcy sfałszowali depeszę czy też list cesarza niemieckiego.

J. Roche wniósł wprowadzenie do konstytucyi zasady, usuwającej raz na zawsze wszelkie projekta praw przeciwnych Deklaracyi praw człowieka. W razie ponownego przedstawienia prawa już odrzuconego do wzięcia go

pod rozbiór potrzeba dwu trzecich głosów. Opiekę nad prawami obywatela sprawuje trybunał kasacyjny. Wszystkie te wnioski przyjęte być powinny.

W Hiszpanii liberalni rozbili się na dwie grupy: Montero-Riosa i Moreta; do pierwszej należy gen. Weyler — liberalny na Kubie, do drugiej kilku książąt. Program Riosa obejmuje: głosowanie powszechne, wolność stowarzyszeń, zbliżenie się do Portugalii i do państw niegdyś hiszpańsko-portugalskich Ameryki Południowej, odbudowanie floty, reformy społeczne, opiekę nad ludem pracującym, spłacenie pożyczek zagranicznych — wreszcie politykę skupienia się w sobie i pracę nad odrodzeniem. Czyn z takiego słowa rzeczywiście odrodzi, ale słowo bez czynu może tylko głębiej pogrążyć.

Pomimo protestacyi angielskiej cztery statki wojenne rosyjskie przepłynęły przez Bosfor za pozwoleniem sułtana.

Izba deputowanych w Wiedniu radzi nad zmianą regulaminu. Wszechniemcy, nieklerykalni, są jej przeciwni. Koło popiera zmianę. Projekt rozszerza władzę poufną prezydenta. Czas był już wielki pomyśleć o wprowadzeniu do zagajnika z wolnością austryacką choćby angielskiej tylko siekiery.

Ważną a dodatnią wskazówką zachowania się Czechów w rozstroju przedlitawskim jest oświadczenie Kramarza, złożone na początku rozpraw nad ustawą o pomnożeniu wojska. Czesi — według Kramarza — chcą widzieć monarchię wolną i na zewnątrz silną: to wystarcza. Körber podziękował mu na gorąco, wzmacniając ten akt zaraz wykładem o duchu bezstronności, jaką rządzi się w swej polityce — a rzecz prosta, że Czechów odrazu na siebie i rząd swój obruszył. Jednocześnie uchwalił klub czeski walkę z rządem p. Körbera do upadłego.

Reorganizacya wojskowa polega na wytworzeniu nowych 14 bateryj artyleryi, oraz artyleryi górskiej i na pomnożenie stanu liczebnego armii o 33,000 l. (ok.).

Nowy minister wojny całej monarchii Pittreich myśli o obwarowaniu Lwowa.

W sejmie węgierskim kossutowcy zwymyślali Andrassego za to, że język niemiecki w armii nazwał niezbędnym. Wymyślali jeszcze i nazajutrz.

Sejm niemiecki wybrał napowrót Ballestrema na swego prezesa. Bülow zapowiedział odwołanie paragrafu przeciw Jezuitom.

Nowy ambasador niemiecki w Wiedniu sam wyjaśnił powód dymisyi swego poprzednika, Eulenburga. Na obiedzie urodzinowym d. 27 z. m. powiedział: „Jesteśmy wszyscy gośćmi w tem ściśle z nami zaprzyjaźnionem państwie. Gościnność wkłada obowiązek: gościom nie wolno się wtrącać w sprawy domowe gospodarza; załatwianie takich spraw należy do niego samego i do jego rodziny.“

Ślązacy stawiają kandydatury niezależne od centrum w Bytomiu, Pszczynie, Opolu, Gliwicach i Katowicach. Rozpoczynają nareszcie samodzielne życie konstytucyjne.

Od 1-go lutego funkcyonuje na całem terytoryum od Zambesi aż do Przylądka głównodowodzący wojskami gen. Littleton. Dewet poróżnił się z Chamberlainem i zagroził oporem. Rząd angielski wyjednał skazanie pułkownika Lyncha, który walczył w szeregach Boerów, na śmierć; król ułaskawił go więzieniem do śmierci.

Standard donosi o śmierci cesarzowej chińskiej. W Pekinie ją zatajono.

Umowa Stanów Zjedn. Am. Półn. z Kolumbią oddaje terytoryum kanału Panamskiego na 99 lat w użytkowanie. Będzie ono neutralnem, a Panama i Colon — portami wolnymi. Stany Zjedn. mogą trzymać siłę dla obrony; w razie zagrożenia dadzą pomoc zbrojną Kolumbii. Kanał będzie zbudowany za lat 14.

Z Wenezueli blokada jeszcze nie zdjęta. Bowen wciąż jeszcze układa się i ułożyć nie może. Wmieszała się Francya; wraz z Belgią nie chce pozwolić na uprzywilejowanie trzech mocarstw działających. Roosevelt odrzuca pośrednictwo, Niemcy i Anglia nie chcą Hagi, wolałyby sąd umyślny. Bowen traci ich zaufanie. Tymczasem Wenezuela cierpi. Wojska rządowe pobiły w początku miesiąca powstańców pod Camataguą. *Times* nazywa złapanie się Anglii na wędkę niemiecką „ciężkim błędem.“

W Maroku sułtan pobił Bu-Hamarę.

D. 7 b. m. zmarł były minister i współregent Bułgaryi Karawełow.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O szpetnym wyrazie.

(Nadesłane).

—

Ile zdaleka sądzić mogę, jednym z najniezbędniejszych artykułów gospodarczych prasy jest — mydło. Służy ono bowiem do Piłatowego umywania rąk z odpowiedzialności i wyślizgiwania się z obowiązku rozcięcia powikłanych a drażliwych węzłów gordyjskich. Bogowie sami tylko wiedzą, ile tego mydła zużywa codzień pisząca Warszawa.

Z powodu częściowego oburzenia się opinii na hiszpańskiego akademika, Cotarela, który wskazał kryjówkę Humbertów w Madrycie, *Gazeta Polska* wezwała „naszych moralistów i prawników, ażeby wypowiedzieli swoje zdanie o tej sprawie.“ Wynaleziony w XIX w. a zastosowany tu pomysł „ankiety“ należy do najskuteczniejszych odmian dziennikarskiego mydła: naprzód bowiem dostarcza redakcyi szeregu bezpłatnych a nieraz zajmujących rozważań, następnie oświetla jej przedmiot z różnych stron i pomaga do wyrobienia „własnego“ sądu, wreszcie, w potrzebie, uwalnia od tego „własnego sądu“ zupełnie. Jeżeli redakcya dostrzeże jakiekolwiek ryzyko w wyraźnem oświadczeniu się za tą lub inną opinią, wtedy uznaje spór za „otwarty“ i sama go nie rozstrzyga.

Tak uczyniła przezorna *Gazeta Polska*. Wydrukowała pięć sprzecznych listów — i nie wypuściła pary ze swoich kiedyindziej bardzo wymownych ust. Niezależnie wszakże od tej taktyki sam wypadek wiąże się z ważnem zagadnieniem moralnem, które dotychczas nie było dostatecznie rozjaśnione w dziełach etycznych. Chodzi o to: czy człowiek uczciwy ma prawo i obowiązek donieść organom sprawiedliwości o wiadomem mu miejscu pobytu przestępcy? Najenergiczniej protestuje przeciwko temu dr. K. Krauz. Według niego, wszelkie ustawy są rezultatem walki różnych interesów przeważnie klasowych, reprezentują więc zawsze tylko część danego społeczeństwa, jej potrzeby, przekonania i siłę. „Prawo uświęca wprawdzie nakazy moralne, ale zawsze tylko część ich i to mianowicie tę, która odpowiada potrzebom warstw zwycięzkich... Dawna, nieuświęcona przez prawo moralność długo nie przestaje żyć obok niego, a prócz tej tworzy się wciąż nowa, nowym, nieuznanym jeszcze przez nie potrzebom odpowiadająca. Stąd zawsze pewien częściowy antagonizm między moralnością i prawem... We wstręcie *każdego* uczciwego człowieka do wydania *nawet* przestępcy w ręce sprawiedliwości tkwi nie co innego, tylko właśnie to często niejasne uczucie względności wszelkiego ustanowionego, siłą zewnętrzną zawarowanego prawa. Gdy to niejasne uczucie spróbujemy rozwinąć w argumenty, to otrzymamy ową krytykę wszelkiej przymusowej, karzącej sprawiedliwości, którą najwymowniej, w naszych przynajmniej czasach, wypowiedzieli dwaj myśliciele, tak jednakże odmienni, jak Lew Tołstoj i Anatol France: ludzie — sądzić ludzi? Alboż są sami bez winy? Alboż tych, których sądzą, obowiązują istotnie wewnętrznie zasady, w imię których sądzą? Alboż kara da się kiedykolwiek dokładnie przystosować do winy?“ „Groźba denuncyacyi *może być* w pewnych wypadkach uzasadniona, mianowicie wtedy, gdy może skłonić winnego do naprawienia krzywdy.“ Wówczas „*każdy* uczciwy człowiek *obowiązany* jest to zrobić bez względu na następstwa prawne.“ W sprawie Humbertów — zdaniem p. K. — „już nic naprawić się nie dało.“ Byli oni tylko „ściganym zwierzem,“ a Cotarelo „psem pomagającym myśliwemu.“

Mimo pozornej logiczności w wywodzie p. Krauza, splatają się w nim dwie sprzeczne nici, z których jedna prowadzi nas do wniosku, że *wogóle* nie należy *nigdy* wydawać przestępcy, gdyż sprawiedliwość jest względna, kara do winy niedopasowana, a władza sądzących (również grzesznych) nieuzasadniona, druga zaś upoważnia nas do denuncyacyi w wypadkach, w których można „zapobiedz występkowi“ i „naprawić krzywdę.“ Pomijam wzgląd, mocno podrywający okolicznościowe znaczenie filipiki p. K., że Humbertowie *mogli* dalej popełniać oszustwa, a więc należał „zapobiedz występkowi,“ oraz że zabrali cudze pieniądze, po części biedaków, które można było im odebrać, czyli „naprawić krzywdę“ — zatrzymam się tylko przy teoretycznem pytaniu: jakie jest właściwe przekonanie autora? Czy według niego mamy usłuchać Tołstoja-France'a i zaniechać wszelkiej kary, a zatem i chwytania przestępców, czy też mamy chwytać niektórych, mianowicie tych, którzy „naprawią krzywdę“? Prawdopodobnie przechyla się on bardziej na ostatnią stronę. Innemi słowy: jeżeli złodziej ukradnie czapkę, którą można mu odebrać, to p. K. go zadenuncyuje; ale jeżeli morderca zabije człowieka, którego już nie można przywrócić do życia („naprawić krzywdy“), to go nie zadenuncyuje. Czy tak? Wartoby wiedzieć: co p. K. czyni lub czyniłby będąc okradzionym, zrabowanym, narażonym na utratę drogiej osoby przez morderstwo? Czy znając kryjówkę złoczyńcy, wskazuje lub wskazałby ją sprawiedliwości, czy też nie? Jeżeliby zachował się biernie, a nawet zataił miejsce pobytu przestępcy, w takim razie jedno lub drugie jego rozumowanie jest konsekwentne, w przeciwnym razie oba się wywracają. Bo przecie poczucie krzywdy *osobistej* nie może mieć przewagi nad poczuciem *cudzej* lub społecznej w uniewinnieniu denuncyacyi, której z takich właśnie pobudek dopuścił się Catarelo względem Humbertów.

Łagodniej—rzekłbym — poetyczniej, ale również stanowczo potępia ją p. G. Daniłowski. „Donosiciel i kat — powiada on — nie cieszyli się nigdy i nigdzie sympatyą społeczną. Powszechność tego zjawiska, żywiołowość wstrętu do pierwszego i ostatniego ogniwa aktu, zwanego „wymiarem sprawiedliwości,“ nietylko świadczy o istnieniu w rozpadlinach serca ludzkiego ukrytych skarbów dobroci, ale zarazem podaje w wątpliwość dodatnią wartość całego aktu, który dokonywa się mocą wewnętrznego przymusu, siły brutalnej i gwałtu.“

Jest to uwaga słuszna, chociaż nie otwiera nam zjawiska do wnętrza.

Trzy pozostałe głosy w *Gazecie Polskiej* bronią denuncyacyi warunkowo.

Zastanówmy się teraz nad samym przedmiotem sporu.

Kto nie uznaje organizacyi społecznej, jako siły i władzy regulującej lub znoszącej walkę o byt między ludźmi, dalej — kto nie uznaje kary, jako narzędzia sprawiedliwości lub poprawy, ten musi konsekwentnie odrzucić denuncyacyę *wszelkiego*

przestępcy, gdyż ona jest dla niego nietylko zdrożną, ale niedorzeczną i bezcelową.

Ale kto uznaje potrzebę organizacyi społecznej i wymiaru kary, a co najmniej potrzebę ubezwładnienia lub poprawy złej woli, ten również konsekwentnie musi dopuścić denuncyacyę. Bo bez hamulców, powstrzymujących niszczące działanie tej złej woli, społeczeństwo istnieć nie może; czy zaś ono będzie przestępcę karać, czy tylko ubezwładniać i uszlachetniać, to w zasadzie nie zmienia obowiązku obywateli zbiorowego starania się o ujęcie złoczyńcy.

Tak kwestya przedstawia się w teoryi.

Inaczej w praktyce. Ponieważ w rozwoju norm postępowania — jak trafnie zaznacza dr. K. — etyka wyprzedza zawsze kodeks, ponieważ jej orzeczenia są zawsze łagodniejsze od jego paragrafów, więc ludzie, których sumienie pamięta o tej, nieraz olbrzymiej różnicy, mają strach przed nią i odrazę do mnożenia jej ofiar w życiu. Spotykamy zresztą tę niechęć w rozmaitych wypadkach. Przed sądem przysięgłych przestępca wyznaje, że przyciśnięty niedolą okradł cudzą kasę. Ponieważ za kradzież z włamaniem kara jest ciężka, a niedola winnego zyskuje dlań litość, więc przysięgli, chcąc go uwolnić, poprostu zaprzeczają w swym wyroku istnienia czynu, do którego sam sprawca się przyznał. Pozornie — nonsens, a w rzeczywistości — wyrównanie różnicy miar — prawnej i etycznej. To też wszędzie, gdzie ona jest małą lub zniesioną — np. w Szwajcaryi, Anglii, Skandynawii itd. — całe społeczeństwo przyjmuje udział w ujęciu przestępcy, a wskazanie jego kryjówki nie jest bynajmniej uważane za hańbiące.

Nie należy przytem zapominać o suggestyjnym wpływie słów. Wyraz „denuncyacya“ bywał tylokrotnie oblocony i okrwawiony, przylepiło się do niego w ciągu wieków tyle okropnych wspomnień, że on dziś odstręcza samem swojem brzmieniem. Wszakże w filozofii życia nie powinno chodzić o dźwięki, o nazwy czynów, lecz o ich istotę. Ta zaś istota tkwi w potrzebie, a zatem w obowiązku ukarania, czy też ubezwładnienia każdej jednostki, która wyrządziła i może dalej wyrządzać innym krzywdy.

Cotarelo prawdopodobnie tak rozumował: Humbertowie są rzezimieszkami wielkiego kalibru; okradli mnóstwo ludzi i ukryli pieniądze, które należy im odebrać; wymknąwszy się sprawiedliwości, niezawodnie będą dalej prowadzili swoje niecne rzemiosło; za popełnione oszustwa grozi im stosunkowo mała kara — należy ich przeto wydać.

Lud hiszpański uczuł za to do niego taki wstręt, że nawet żebracy odmówili przyjęcia rozdzielonej między nich nagrody, która Cotarelowi przypadła od rządu francuskiego za doniesienie. P. Krauz widzi w tym wstręcie „jasny a niespodziewany blask,“ p. G. Daniłowski — „nagły błysk w noc ciemną“; mnie się zaś zdaje, że był to wybuch tradycyjnej sympatyi, którą Hiszpanie i Włosi oddawna czują do wielkich bandytów. Ten „blask“ znalazł się w ścisłem powinowactwie z adoracyą dam hiszpańskich, które znosiły Humbertom do więzienia kwiaty. O, bo damy umieją czcić bohaterów, nawet złodziejów, nawet nikczemnych donosicieli, aby tylko zuchwałych, aby wielkich!

A teraz odpowiedź na postawione wyżej ogólne pytanie. Każdy uczciwy człowiek, będący wyznawcą społecznego uporządkowania walki o byt między ludźmi i uznający potrzebę kary, ubezwładnienia lub poprawy złoczyńców, powinien wydawać ich straży społecznej, ile razy jest przekonany, że ona będzie dla nich, według jego sumienia istotnie sprawiedliwą.

Go—on.

Bałwochwalstwo słowa.*)

—•—

> Więc on na to:...
> „Rozum przez was spodlony z waszych mózgów wydrę, tak iż wierzyć będziecie fałszowi, wy, którzy nie wierzyliście prawdzie.
> *Załawski*

Aby zwalczyć dość powszechne mniemanie, że Talmud zawiera jakieś tajemnicze nauki i jadowitem żądłem zwraca się przeciw chrześcianom, podjął niejaki Preferkowicz trud nielada. Olbrzymie, wielotomowe dzieło przełożył on na język rosyjski. Rozpoczęte przed kilku laty, wydawnictwo to dobiega obecnie do końca. Obrona na tym punkcie, z którego wyszła, okaże się chyba skuteczną: wykrętnym tłomaczeniom i fałszywym cytatom rozmaitych Rohlingów kres zostaje położony, przynajmniej na gruncie rosyjskim, gdzie Rohling miał godnego naśladowcę w Lutostańskim: tu przeciętny obywatel jest w stanie sam skontrolować owe „tajemnice nauki“ i „wrogie napady na chrystyanizm“ i przekonać się o nieuctwie i złej woli mniemanych znawców Talmudu.

Ale natomiast oczy otwierają się szeroko na rzeczy inne. Przynajmniej my osobiście, wziąwszy przekład Talmudu do ręki, doznaliśmy uczucia głębokiej zgrozy. Przerażenie ogarnęło nas na widok straszliwych krzywizn myśli ludzkiej, przechowywanych skrzętnie, uwielbianych, cenionych przez całe wieki, oddziaływających na szeregi pokoleń, nieprzebrzmiałych i dzisiaj, bo dotąd wykładane są po chederach jako owoc i kwiat ducha, jako pożywne ziarno dla umysłów. Nie przeczymy, że w tym steku bredni są błyski myśli świattłej, że w tej kupie plew mieszczą się niekiedy ziarna mądrości, że wśród tych scholastycznych zawiłości uderza niejedna subtelność prawnicza, że w grubą warstwę zabobonu zawiniętą została nieraz jakaś prawda hygieniczna lub psychologiczna, że niejedna wskazówka posiadała wysoką wartość praktyczną w swoim czasie, że w tej zbieraninie mnóstwa nauk i poglądów tysięcy ludzi przewijają się piękne poetyckie parabole, zajmujące przenośnie, trafne spostrzeżenia, godne uwagi przyczynki kulturalne — wogóle nad temi księgami roztacza się okropny pomrok i wieje z nich zaduch wstrętnej ciasnoty umysłowej, coś, co duszę współczesną oburza!

Można to wrażenie osłabić z dwóch stanowisk. Po pierwsze należy uprzytomnić sobie względy dziejowe, historyczno-porównawcze: mamy do czynienia z ideami czasów zamierzchłych, epok nierozwiniętych umysłowo; zabobonność i formalizm w epoce powstania Talmudu są powszechne; ulega im cały świat pogański; drobiazgowa obrzędowość, podobna do żydowskiej, krępuje narody najświatlejsze w świecie starożytnym: Greków i Rzymian**); później, w epoce uprawy przez Żydów nauk talmudycznych na gruncie Europy średniowiecznej, ciemnota i scholastyczny sposób myślenia są również zjawiskiem powszechnem. Powtóre, głębsze zastanawianie się nad współczesnością doprowadza do wniosku, że ciemnota nie jest objawem, należącym do przeszłości, że błędy myślenia talmudycznego posiadają swoje analogie na bardzo szerokiej przestrzeni, nawet po za obrębem motłochu *żydowskiego*, że słowo zamierzchłe nie utraciło mocy nad umysłami narodów współczesnych...

Ale podobne rozmyślania nie niszczą siły uczuć. Tem boleśniej jest myśleć o ciążących przez wieki całe na myśli ludzkiej kajdanach. Tem słuszniejszem jest przypatrzeć się im zblizka.

To samo *słowo*, które uskrzydliło myśl ludzką, dało jej wspaniałość i potęgę, okazuje się z drugiej strony górą, która przywala ducha ludzkiego, nie daje mu się w pełni rozwinąć. Właśnie dlatego, że spostrzeżono jego moc i wzniosłość, przeceniono jego znaczenie. Olśnione światłością *słowa* umysły upadły przed niem w proch, zrobiły ze słowa — *bożka!*

Ten ogólny objaw ewolucyjny nie występuje nigdzie z taką charakterystyczną jaskrawością, jak w dziejach ludu żydowskiego. Niepodobna go lepiej ująć i wytłomaczyć, jak z badań nad Talmudem. Ponieważ nad Żydami ciążył zakaz oddawawania się malarstwu i rzeźbie, *naturalna potrzeba bałwochwalstwa, tkwiąca w masowej duszy żydowskiej nie mniej niż we wszystkich innych ludach, znalazła ujście — w bałwochwalstwie słowa* *). Pozostawiono im jedyny symbol, aby zapobiedz materyalizacyi bóstwa. Ostrożność ta okazała się próżną; słowo okazało tę samą zdolność, co drzewo, kamień, barwa — znieruchomiło myśl, zakrzepło, zmateryalizowało się... Oto jeden z przykładów znamiennych: W Hagadzie, odczytywanej co rok na święcie pesachowem, postawione jest pytanie, iloma plagami Bóg dotknął wojska Faraona na brzegu morza Czerwonego, skoro dziesięcioma ukarał je w Egipcie. Odpowiedź brzmi: „pięćdziesięcioma.“ A oto komentarz: „gdzie w Biblii mowa jest o *dziesięciu plagach* w Egipcie, powiedzianem jest: dotknął ich *palec boży*; a gdzie mowa jest o karze nad morzem, powiedziano: rozpostarł Bóg nad niemi karzącą *rękę*.“ Symboliczna ręka boża w pojęciu Żyda posiadała tedy pięć palców, jak ludzka. Skoro „palec“ równał się 10 plagom, ręka boża groziła 50-ma. Antropomorfizm pewny! Ustęp ten odczytywany był przez wieki przez całe pokolenia Żydów; oczywiście tedy odpowiadał poglądowi mas.

Ten sam rys rozumowania przechodzi przez cały Talmud. Jest on tu tak wymowny, tak znaczny, tak pouczający — zwłaszcza w dzisiejszej epoce, gdy odwracamy się od „nudnej i suchej cyfry,“ gdy z obrzydzeniem spoglądamy na myśl ścisłą, gdy poczynamy hołdować słowu i jego „głębokiej symbolice“ — że warto ze wszechmiar zatrzymać się nad tym objawem: „przerostu myśli przez słowo“ (hypertrofii słowa) i zobrazować go kilkoma przykładami. Takiem jest zadanie niniejszego artykułu.

Istnieje modlitwa: „Szemà“ (Słuchaj). Brzmi ona:„ Słuchaj, Izraelu, Pan, Bóg

*) W antisemityzmie złem jest kłamstwo i podjudzanie namiętności. Spokojne badanie prawdy nie ma z temi kategoryami nic wspólnego. Opiera się ona na tem, że prawdy nie należy chować pod korcem, cokolwiek zła wola może z niej uczynić.. Takiem jest nasze stanowisko w artykule niniejszym. (*Przyp. Autora*).

**) Por. Fustel de Coulanger: *La cité antique. Etude sur le culte, le droit, les institutions de la Grèce et de Rome.* Paris, 1900, wyd. 17, str. 193—4.

*) Nawet bardzo światli Żydzi przeczą częstokroć tej niewątpliwej prawdzie, którą uznać zmusza bezstronne przedmiotowe badanie. Powołując się na urywkowe zdania Biblii, cytując Majmonidesa itp., usiłują oni dowieść, że właściwością ducha żydowskiego jest najwyższe uduchowienie bóstwa. Nie rozumieją oni, że dusza *masowa* nie daje się ocenić na zasadzie przeczuć *jednostek*, górujących w narodzie. Częste wpadanie Żydów w bałwochwalstwo, o czem świadczy Biblia, zazdrosne ochranianie Jehowy od czci ze strony obcych ludów, które uważano, widać, za znajdujące się pod opieką innych, rzeczywistych, choć mniej pięknych bóstw, wiekowa uprawa nauk talmudycznych, tchnących drobiazgową obrzędowością — to wszystko ginie z pamięci tych obrońców. A przecie zdziwiliby się oni, gdyby ktoś naukowości ducha polskiego dowodził wskazaniem na Kopernika. Szczytowy punkt pokazuje najwyższy stopień napięcia duchowego, do którego zdolny jest dany naród, ale o *przeciętnej jakości duszy narodowej* pouczyć badacza nie może. (*Przyp. aut.*)

nasz, jest Bóg jedyny! Kochaj Pana, Boga twego, całem sercem swojem, całą duszą, wszystkiemi swojemi siłami“ itd. Oto, co z tej pięknej modlitwy czyni Żyd... Nietylko Żyd przeciętny, nie masa, bo czynią to jej wybrani nauczyciele, rabini, „mędrcy“!

Przedewszystkiem zachodzi pytanie, czy modlitwę tę można mówić po cichu. „Mędrcy“ uczą, że jest to niepodobieństwem. Należy ją mówić głośno lub półgłosem, aby ją mógł słyszeć inny Żyd. Bo *powiedziano* przecież: „*Słuchaj*, Izraelu.“

Symboliczny, obszerny sposób wyrażenia, który podyktował dalsze wyrazy tej modlitwy: „I słowa moje przywiąż na znak do ręki twojej i jako przepaskę nad oczyma swojemi, a napisz je na wrotach domu swojego“ — sprawił, jak wiadomo, że Żydzi przywiązywać jęli rzemykami w cylinderkach owe „Słowa Pańskie“ na rękach i na czole, a w zwitkach na drzwiach swoich mieszkań! Zresztą... któż dziś odgadnie, co było tylko duchem i przenośnią poetycką w pierwotnych nakazach, a co było symbolem, do którego rzeczowe znaczenie przywiązywał sam prawodawca lub twórca modlitwy? Niepodobna dziś oznaczyć, jak wysoko górował natchniony wybitny umysł przewodników duchowych nad masą, o ile sam przewodnik nie kochał się w rzeczowym obrazie, lub czy nie uznawał dla tłumu za konieczne uprzytomniających myśl modlitwy znaków na odzieży, tj. czy nie był mimowolnym twórcą zabobonu? Nie było przecie dotąd nigdzie religii bez symbolów.

Słowa tej samej modlitwy brzmią: „Powtarzaj je, siedząc w domu swoim i *idąc drogą, kładąc się i wstając*.“ Otóż mędrcy prowadzą długie i „głębokie“ spory co do tego, kiedy wieczorem i zrana należy mówić „Szemà.“ Jasną dla nich jest rzeczą, że „Szemà“ z wieczora mówi się w pozycyi *leżącej*, zrana — w pozycyi *podniesionej*. Ale ciemną jest kwestya, kiedy kończy się okres wieczorny dla tej modlitwy i kiedy kończy się ranny. Niektórzy są zdania, że rankiem można mówić „Szemà“ do 1-ej, bo o tej godzinie *wstają* jeszcze dzieci królewskie. W dzień na ulicy Żyd szepcze „Szemà“ *idąc*. Jeden z rabinów (Tarphon) położył się podczas podróży i wypowiedział tę modlitwę, leżąc; podczas tego napadli go rozbójnicy. Jakiś talmudysta wykrzykuje z tego powodu: „Dobrze mu tak! Przestąpił bowiem przepis boży.“ Mówił „Szemà,“ *nie idąc*. Zresztą obie genialne szkoły, Hilleta i Tramaja, rozmaicie zapatrują się na te kwestye, jak i na tysiące innych. Nie mogły się one nigdy pogodzić. We wszystkich przedmiotach „religijnych“ stały na biegunowo sprzecznych stanowiskach. Gdy jedna twierdziła, że izbę należy zamieść *przed* ucztą religijną, druga była zdania, że zamiatać należy *po* uczcie. Myśl o możności zamiatania i przed ucztą i po uczcie nie przychodziła nikomu do głowy *). Żyd nie lubił zbytku... czystości. Pilnował się jej o tyle, o ile przymuszał do niej rytuał. A rytuał stanowił, według tłomaczenia tego lub owego komentarza, ciekawe zasady czystości: Kto oddalał się z uczty dla pomówienia ze znajomymi, po powrocie winien był obmyć obie ręce, ale kto oddalił się z potrzeby fizyologicznej, gdy wracał, obowiązany był obmyć tylko jedną rękę. Takie było prawidło „savoir vivre“ Talmudu.

Czystość! czystość! — jakże troskliwy jest o nią talmudysta. Niepokoi go myśl, że kiedy mówi „Szemà,“ idąc, może wejść na brudne miejsce. Ponieważ niepodobna nic zostawić estetycznemu zmysłowi człowieka, ponieważ każdy drobiazg wymaga szczegółowych określeń, mistrze ludu żydowskiego tłomaczą swoim uczniom, iż, wszedłszy na brudne podwórze, powinni przerwać modlitwę „Szemà.“ Ba! nauka „religii“ sięga jeszcze dalej: po załatwieniu potrzeby fizyologicznej należy dla odmówienia „Szemà“ *odstąpić na cztery łokcie*. Niech nam czytelnicy wybaczą ten szczegół drastyczny. Niepodobna go pominąć: jest on nazbyt charakterystyczny. Warto wiedzieć, jakie karykaturalne formy przyjmuje drobiazgowe krępowanie życia przepisami „religijnymi.“ Warto wiedzieć, czego uczą się przez całe wieki nieszczęśliwe, ogłupiane w chederach dzieci żydowskie, od 5-go lub 6-go roku życia! Warto wiedzieć to, aby zrozumieć, że „racyonalne chedery,“ proponowane przez syonistów, warte będą nieracyonalnych, jeżeli w nich zachowaną zostanie dawna nauka Talmudu, że dzisiejsze przechwałki Żydów, iż „niema śród nich analfabetów,“ winny wywołać odpowiedź: „jakież to nieszczęście, że niema śród Żydów analfabetów!“ Warto to wszystko wiedzieć, aby zrozumieć, że jedynym sposobem ryczałtowego odziałania na masy żydowskie w duchu cywilizacyjnym jest zniesienie chederów i założenie szkół przygotowawczych ogólnego typu ze zmniejszeniem do minimum nauki rytuału religijnego. Wykształceni Żydzi, upierający się przy tem, że treść ich religii jest obcą dogmatyzmowi, nie powinni oburzać się na nas za to „minimum“; skoro obrzęd i dogmat nie grają roli w nauce Mojżeszowej, to niema potrzeby wyznaczać na nią wielu godzin.

Ale odstąpiliśmy od głównego tematu... Talmudysta zastanawia się nad tem, że wydzieliny niemowlęcia nie mogą posiadać takiej wagi dla... możności mówienia „Szemà,“ jak ekskrementy dorosłego człowieka. „Od wydzielin dziecka i od jego moczu“ (przepraszam znowu za wierną cytatę z Talmudu), należy oddalać się o 4 łokcie tylko w tym razie, jeśli dziecko jest w stanie zjeść stały pokarm wielkości oliwki.“ Ekskrementy zwierzęce nie krępują mówiącego „Szemà.“ (To nie brud?) Ale od psich należy się oddalić, jeżeli używa się ich do wyrabiania skór!

Jeszcze jeden miły szczegół: gdy pod łóżkiem stoi naczynie, można mówić „Szemà“ tylko w tym wypadku, gdy... mocz jest rozcieńczony wodą. Rabbi Sakkai sądził nawet, że wody wówczas powinno być nie mniej, niż 1/4 łuta. Rabbi Simon, syn Gamaliela, był zdania, że „Szemà“ można mówić, jeżeli naczynie stoi *za* łóżkiem; nie można, jeżeli stoi *przed* łóżkiem, choćby woda była nalana! Rabbi Simon, syn Skazara, jest tego zdania, że naczynie musi być przykryte; inaczej „Szemà“ mówić nie można, choćby pokój miał 10 łokci długości.

Zachodziła wątpliwość, czy „goły“ może mówić „Szemà.“ Byli „mędrcy,“ którzy tę arcytrudną sprawę decydowali twierdząco, ponieważ Bóg w księdze Hioba powiada: „Odziałem go obłokami.“ Inni nagiemu doradzali mówić „Szemà,“ przykrywszy się wodą, ale... „nie stojącą i nie urynową.“ Inni obawiali się, że „Szemà“ może być powiedziana przez kogoś „w niewłaściwej porze.“ Uspakajali przekraczającego odnośny przepis tem, że w tym razie może „uważać siebie za czytającego torę“ (w której „Szemà“ stanowi ustęp częściowy). Pouczono tych, którzy podczas „Szemà“ przypomnieliby sobie, iż mieli „pollutionem nocturnam,“ że powinni przerwać modlitwę i rozpocząć ją od początku... Dość tych przykładów!..

Nie chce się temu wszystkiemu wierzyć! Wydaje się to karykaturą! Ludzie, zastanawiający się nad takiemi bredniami, całe wieki uważani byli za mistrzów religii! Słowa ich, jak świętość, zapisane zostały, przyniesione z Babilonu i z Jerozolimy, wędrowały z Azyi i Afryki do Europy, ochraniane w ciągu wieków w Hiszpanii, Francyi, Niemczech, w Polsce, uniknęły zagłady, jakkolwiek druk ich nie utrwalił, nie zginęły śród tysiącznych prześladowań, podczas rzezi w getthach, w pożarach, gdy z dymem puszczono strzechy żydowskie, gdy płonęły tysiące ludzi — te słowa są jeszcze dziś żywe! Bezduszność umarłych po wiekach przygniata żyjących! Nie chce się temu wierzyć! W takich obrzydliwościach grzązł duch narodu, który na pustyni posiadał już wyższe przeczucia uduchowionego jedynego Bóstwa! Tak potworniały w komentarzach i wykonaniu najpiękniejsze modlitwy religijne! Naród, któremu zalecano, aby miał słowo boże w pamięci i na ustach każdej chwili, „siedząc i idąc, kładąc się i wstając,“ któremu zalecono, aby, zapatrzony w niebiosa, stracił widok ziemi z oczu — zemścił się za ten surowy, ascetyczny nakaz, zobaczył podczas modlitwy na ziemi... ekskrementy! Przelękniony, że święta jego modlitwa może rozbrzmiewać w bliskości ekskrementów — cóż zrobił? Oto pomieszał wydzieliny z modlitwą w jednem zdaniu! Słowo, przypisane Bogu: „Słuchaj, Izraelu,“ postawił w bezpośredniem sąsiedztwie z najobrzydliwszymi wyrazami!.. Oto, do czego doprowadziło i doprowadzać będzie zawsze bałwochwalstwo słowa!

Leo Belmont.

*) W pobieżnym artykule nie możemy tłomaczyć tych subtelnych różnic i przyczyn niezgody pomiędzy komentatorami, oraz wskazywać pośredniczące opinie rozsądniejszych rabinów.

Ruch kobiecy we Włoszech

III.

Wielostronna i uczona Malvina Frank, wenecyanka, pisze dzieła krytyczne, historyczne, rozprawy z dziedziny polityki, nauk przyrodniczych i socyologii. Elena Balio, zaszczycona podwójnym tytułem doktora filozofii i literatury, zajmuje się czynnie sprawą równouprawnienia kobiet. Głównem jej dziełem jest rozbiór krytyczny metody Kartezyusza. Doktorami filozofii są także Elisa Bassi i Albertina Daneo. Ta druga jest uczenicą profesora Ferri; jej odczyty w szkole *della Sapienza* wzbudziły ogólne zainteresowanie. Naukom pozytywnym oddaje się z powodzeniem Ida Clatto. Archeologia ma znakomitą przedstawicielkę w Ersilii Caetani Lovatelli, autorce mnogich utworów w tym zakresie i znanej pisarce łacińskiej. Szeroki rozgłos zyskała sobie Antonietta Barattieri swemi pracami z dziedziny geografii i kosmografii. Dział historyczny uprawia Salvina Fabricius, której kilku-tomowa historya Włoch otrzymała medale na kongresie pedagogicznym w Medyolanie, w 1863 r. i na pierwszej wystawie prac kobiecych we Florencyi, w 1871 r. Bardzo cenione są również pisma Matyldy Fentler Ferluga, tryestanki, wśród których zasługują na wyróżnienie: wyczerpujący życiorys Tommaseo Campanella i obszerna biografia Lorenzo il Magnifico. W matematykach odznacza się chlubnie Adele Capuzzo Dolcetta, powołana do wykładania tego przedmiotu w gimnazyach, szkołach realnych wyższych i nauczycielskich. Naukami przyrodniczemi zajmuje się Teresa Boschetti Confortini, nagrodzona medalem przez Ministerstwo Oświaty za swe „Szkice“ z historyi naturalnej. Giuseppina Caetani, doktór medycyny, asystentka słynnego profesora Tizzoni, w laboratoryum patologicznem w Bolonii, ma znaczną klientelę i pisze dzieła medyczne. Do komisyi rządowej badań językoznawczych należy Carolina Coronedi Berti, zasłużona w folklorystyce swej rodzinnej Bolonii. Jej słownik i gramatyka narzecza bolońskiego, jej „Notatki“ o bolońskiem lecznictwie ludowem, o botanice ludu bolońskiego, i o uroczy-

stościach ślubnych wieśniaków bolońskich, zwróciły na nią uwagę.

Co się tyczy sztuk pięknych, Włochy posiadają najwięcej malarek. Niektóre zdołały wyrobić sobie ogólne uznanie. Do tych zaliczają się w pierwszym rzędzie: Fulvia Bisi, pejzażystka. Lilla Maldura, obdarzona bogatą wyobraźnią, poczuciem koloru i śmiałością w wykonaniu. Virginia Mariani, rzymianka, odznacza się subtelnym rysunkiem i świetnem wydobyciem światłocienia. Jest członkiem honorowym Akademii *del Panteon* i Akademii *Umbra di Belle Arti*. Leopoldina Bozzino, medyolanka, zyskała sobie sławę akwarelami pełnemi uczucia i orginalności w pomyśle. Ada Francesetti di Mezzenile znana jest w sztuce pod panieńskiem nazwiskiem Mangilli; prócz wielkiego talentu, posiada głębsze wykształcenie, umysł twórczy i światły. Anna Mirandoli, florentynka, Emilia Ferretti, która obok malarstwa, uprawia także literaturę i pisuje krytyki o sztuce. Emira Galli, wenecyanka, Antonietta Brandeis, urodzona w Galicyi, celuje w krajobraz i w obrazkach rodzajowych.

Rzeźbiarek jest stosunkowo mniej, niż malarek, ale wśród nich znajduje się kilka talentów wybitnych. Słynną, nietylko we Włoszech, jest Adela Maraini, medyolanka. Jej „Safo,“ naturalnej wielkości, była nagrodzoną złotym medalem przez ministeryum oświaty. Wystawiona w Paryżu 1878 r., zyskała uznanie najpoważniejszych krytyków francuskich i została nabytą przez Rotschylda. Z ogromną plastyką i odczuciem przedmiotu Maraini przedstawiła Hamleta w chwili, kiedy wsłuchuje się w słowa ducha i Sulamitkę, wychodzącą z haremu Salomona na spotkanie swego pasterza.

Luisa Mussini, rodem z Sieny, została nagrodzona na wystawie we Florencyi; głównemi jej dziełami są: „Dziecko śpiące“ i figury św. Jerzego i św. Cecylii.

Amalia Duprè, florentynka, córka słynnego rzeźbiarza, odziedziczyła po ojcu talent artystyczny. Jest profesorem honorowym Akademi *Raffaelo di Urbino*. Wykoła do katedry florenckiej olbrzymią figurę św. Reparaty i ukończyła zaczęty przez ojca wizerunek św. Zenobiusza.

Kompozytorek muzycznych Włochy posiadają niewiele. Znaną jest Irena Morpurga, autorka opery trzyaktowej p. t. „Maria,“ przedstawionej i oklaskiwanej we Florencyi i w Livorno. Wzoruje się na dawnej muzyce włoskiej; ma wiele oryginalności, wiele prostoty, uczucia i wesołości. Carlotta Ferrari jest zarazem poetką i kompozytorką; pisze sama *libretta* do swych oper, i stworzyła w tym kierunku trzy dzieła pierwszorzędne: „Elgo,“ „Sofia“ i „Eleonora di Arborea.“ Ida Correz uprawia muzykę salonową; jej *romanze* odznaczają się bogactwem melodyi.

O powieściopisarkach i poetkach nie wspominam. Imiona takie, jak Anna Zucca w Raduis, Matylda Serao, Ada Negri, Berta Barbensi, Grazia Pierantoni, Mancini, świadczą wymownie, że kobiety włoskie nie dają się w tym względzie pobić mężczyznom. Ale jest pewien zakres piśmiennictwa, któryby oni radzi zachować wyłącznie dla siebie i w którym kobiecie przychodzi walczyć o prawo obywatelstwa. Mówię o piśmiennictwie politycznem. I tu jednak jej wytrwałość poczyna robić wyłomy.

W szeregach stronnictwa demokratycznego walczy piórem i słowem Anna Maria Mozzoni, wpływowa jednostka polityczna, popierająca z całych sił sprawę emancypacyi kobiet. Reformy, wprowadzone do kodeksu włoskiego przez ministra Zanardelli'ego, są w znacznej części jej zasługą.

W Tryeście, głównem ognisku narodowości włoskiej, jeszcze ujarzmionej przez Austryę, kobiety pracują gorliwie nad utrzymaniem pamięci o wspólnej ojczyznie. Giuseppina Martinuzzi poświęciła temu celowi swój talent literacki. Była dłuższy czas wydawczynią i redaktorką pisma politycznego, *Pro Patria*, które się szczyci współpracownictwem najwybitniejszych pisarzy. Obecnie naucza w tak zwanych szkołach obywatelskich, utrzymywanych ofiarnością ludności włoskiej. Adela Butti, literatka, poetka i mówczyni, ułożyła dużo pieśni i poezyj patryotycznych. Swemi lirykami do „Italii“ zdobyła sobie zaszczytne miejsce na Parnasie włoskim.

Rozpowszechnienie idei równouprawnienia kobiet obrały sobie za zadanie: Beccari Gualberta Alaide, Saredo, Malvina Frank, Saffi, Fanny Zampini Salazar, i wiele innych.

Na zakończenie podaję nazwiska mężczyzn, którzy z wyjątkową szlachetnością wypowiedzieli się za prawami kobiety. Są to: Bertani Morelli, Moleschott i Luchini Tommasi-Crudeli.

M. Rygier.



VERBUM NOBILE.

Kobieta.

W oczach pokolenia naszego dokonało się kilka ważnych przeobrażeń społecznych. Rodzic przestał być panem swego syna i jest tylko jego ojcem; córka przestała być wyłącznie kandydatką na matkę i stała się kandydatką na obywatelkę, a nawet obywatelką. Familia utraciła despotyczny wpływ na rodzinę, rodzina na osobnika. Ojciec był dawniej dla syna nietylko ojcem, ale i spadkodawcą, wyposażał go za życia. Syn musiał ulegać woli ojca, gdyż ten stanowił o jego losach. Nietylko słuszne żądanie, ale nawet kaprys ojcowski był dla syna prawem nieugiętem. Rodzic twierdził, iż prawo to czerpie z woli bożej; niebawem jednak pokazało się, że gdy znikła materyalna podstawa władzy, znikło i prawo, a apelacya do mniemanej woli bożej nie pomogła. Syn przestał być dziedzicem majątku ojca swego, musiał sam pomyśleć o sobie, musiał często wykraczać przeciwko niepraktycznej woli ojca, inaczej groziła mu poprostu przegrana w walce o byt, o stanowisko, o wpływ. Ojciec z początku burzył się, biadał, nieraz wyklinał, ale rozejrzawszy się w nowych formach bytu uległ, z pana i władcy stając się przyjacielem swego syna. Walka młodych i starych odbywała się zarówno w dziedzinie objawów materyalnych, jak i moralnych. Dziś syn, jeżeli ma choć trochę charakteru, może z łatwością rzucić posadę u majętnego ojca-despoty i pracować sam na siebie, może obrać sobie za żonę kobietę, która się jemu podoba a nie jego bogatym krewnym, może poświęcić się zawodowi według własnowolnego wyboru a nie tradycyi, objawionej przez usta rodziny lub rodu.

Emancypacya kobiety z pod despotyzmu rodziny i familii odbywała się z daleko większym trudem. Kobieta polska wbrew wszelkim różowym złudom jest i była pierwiastkiem nawskróś konserwatywnym. Typ wiejskiej pani, typ matrony, ma w sobie dotąd coś z czasów patryarchalno-feudalnych. Mąż chyliłby się nieraz ku nowości; ale żona, pani nad dworem, służbą, wsią, ona wytwarza despotyczną opinię i jest jej zarazem niewolniczo uległą; wraz z księdzem, którego chyba nikt nie zaliczy do typu człowieka postępowego, pilnuje dawności, tradycyi, starych obyczajów. Kobieta na wsi, która wyszła zamąż, jest panią jest obywatelką, jest jednem ze słońc; kobieta, która zamąż nie wyszła, która nie posiada majątku, musi jak planeta dokoła tego słońca się obracać przez cały dzień a często i przez całą noc. Stanowisko jej jest zawsze podrzędne; ona nigdy nie jest, jak to mówią, u siebie; to nie obywatelka, lecz salonowa służebnica obywatelki. Córki pani są wobec niej istotami uprzywilejowanemi. Słyszy przez cały dzień, że kobieta jest przeznaczona na żonę i matkę; ale nie widzi, aby się to stosowało do niej. Mężczyzna, szukający żony, niezawsze jest pewien, czy wypada mu zaszczycić ją podaniem ręki. Pani, której potrzebny jest liczny a tani dwór, pod pozorem woli bożej wyzyskuje ją moralnie i materyalnie dla swoich celów. Cóż więc dziwnego, że kobieta pracy poczęła uciekać z wsi do miasta, gdzie zyskiwała stanowisko samodzielne, równouprawnienie społeczne, część dnia i wieczór wyłącznie dla siebie, a przedewszystkiem to, iż mężczyzna zbliżał się do niej, jak równy do równej, że nie było tam żadnych słońc uprzywilejowanych, że opinia publiczna nie tyranizowała jej, nie wyzyskiwała tak bezgranicznie na korzyść kobiet zamożnych; że mogła stanowić sama o losie swoim, że mogła zająć szanowne stanowisko nie przez męża, ale dzięki osobistym przymiotom.

Ta ewolucya jest niesłychanym dorobkiem kulturalnym naszego społeczeństwa. Kobieta przestała być kulą u nogi postępu. Kobieta dziś uczy się i uczy innych. Kobieta razem z mężczyzną pracuje nad podniesieniem poziomu kultury. Rozumie mężczyznę, mężczyzna ją rozumie. Emancypacya kobiety przestała być poprostu zagadnieniem. Jak mężczyzna, tak przeważnie dziś każda kobieta, gdy posiada szczyptę inteligencyi i charakteru, może podziękować za służbę bogatym rodzicom, zająć w społeczeństwie stanowisko samodzielne, szanowne, może zdobyć majątek, sławę, piękne imię obywatelki.

I znowu przewrot ten odbył się nietylko w dziedzinie materyalnej, ale i moralnej. Cnota kobiety nie zależy od klucza haremowego, ale tylko i wyłącznie od jej zasad. Rozumie się, że wszelkie zboczenia etyczne mają źródło także w podkładzie fizyologicznym; z tego też powodu typ tak zwanej upadłej kobiety pojawia się nietylko tam, gdzie cnoty strzeże klucz, ale i tam, gdzie strzeże jej zasada. A i to się rozumie, że do upadku doprowadza często kobietę nędza materyalna. Ale bez porównania bezpieczniejszym stróżem cnoty jest zasada, niż klucz. Ten klucz moralny był jakąś potwornością, który sprawił, że kobieta, pod nim wychowana, była prawie zawsze niższym typem kulturalnym. Kobieta pod kluczem — to nietylko potworność cywilizacyjna, ale zarazem wielka niesprawiedliwość. Do dnia ślubu gęś niewinna, po ślubie, jak po objawieniu, ma się natychmiast zmienić w podniebną orlicę; igraszka w ręku męża, zależna od opinii kleru, familii, była władczynią i niewolnicą zarazem, a w dzisiejszym wieku demokratyzacyi oświaty typem przestarzałym. Mężczyzna dzielił kobiety na „pewne“ i „niepewne,“ a kobieta nie rozumiała, że samo stawienie kwestyi w ten sposób już było dla niej ubliżające.

To wszystko się zmieniło i zmienia w dalszym ciągu. Ale walka była ciężka. Jakże się tu dziwić, że pionierki postępu popadały nieraz w śmieszną ostateczność, że nie odrazu weszły na drogę właściwą, że nieraz błądziły, zawracały i znowu błądziły. W rezultacie zwycięztwo zostało odniesione, społeczność nasza zdobyła się na typ kobiety niezależnej, na typ kobiety obywatelki.

Więc nie to powinno być przedmiotem dyskusyi, ale raczej pewien zastój, w jaki popadły kobiety postępu. Razem z grupą

niezależnych mężczyzn podzieliły się na sferę, którą dotychczasowe zdobycze zadowoliły, i na sferę, która pragnie iść dalej. Kobieta postępowa, zyskawszy pewną przewagę społeczną, stanęła w pracy, od jakiegoś czasu nie rozszerza swoich myślowych horyzontów, potworzyła sobie dogmaciki społeczno-kulturalne, nie poddaje ich krytyce. Fala wraca.

Reakcya, obejmująca wiele sfer, porwała z sobą także postępową kobietę polską. Ona, do niedawna jeszcze pionierka, niosąca w rękach sztandar ideału, uwierzyła w oportunizm, w ten krótkowzroczny oportunizm, w ową jaskółkę, zapowiadającą zbliżanie się wiosny — wstecznictwa. Jest to nie wiosna, ale lato i to babie lato, fałszywe lato, które, ściśle według wiary ludowej, mami umysły pozorami prawdziwego lata. Kobieta nasza, niedokształcona, przeważnie samouk, w którym nie utrwaliły się zdobycze wiedzy, kobieta misyi jednodniowej, która każdy połyskujący przedmiot bierze za słońce i każdy paradoks za tezę naukową, kobieta poświęcenia, która mniema, że mieć dobre serce znaczy to samo, co mieć dobrą głowę, zacofała się, stanęła bezwiednie niemal w szeregach tych, którzy się gromadzą pod konstelacyą raka. I zwolna, zwolna, ta sama kobieta, która uciekła ze wsi do miasta przed wstecznictwem, dziś w mieście tworzy falangę wstecznictwa nowego pokroju.

Szczupła, nieliczna jest garstka tych kobiet, które nie należą do fali wracającej, ale dążą naprzód, rozwijają myśl postępową, pracują nad podniesieniem umysłu kobiecego. Nieliczna, ale za to dzielna gromadka walczy w dalszym ciągu i — ufajmy — odniesie zwycięztwo.

Czyż winić kobietę, że płynie za falą reakcyi, gdy ten wsteczny ruch wyszedł od mężczyzn? Kobieta uległa tylko prądowi ogólnemu. W dodatku posiada przeważnie zawsze ukształcenie niższe, niż mężczyzna, nie odbiera nauk w zakładach wyższych, zadawala się mniej niż średniem ukształceniem. Bo, rzecz charakterystyczna, ilekroć spotkamy kobietę uzbrojoną w prawdziwą wiedzę, ujrzymy w niej prawie zawszę tę dzielną przodowniczkę ideową, której babie lato oportunizmu nie omota.

Zdaje nam się tedy, iż nie będziemy zbyt dalecy od prawdy, gdy wygłosimy zdanie, że kwestya postępowości u kobiety jest poprostu kwestyą stopnia jej oświaty. Moralniejsza i sprawiedliwsza od mężczyzny, skoro uzbroi swój umysł istotną wiedzą, wytworzy nową wielką falę, która może tak prędko nie wróci ku brzegom, jak fala obecna.

W tej chwili sprawa przedstawia się dość smutno. Kobieta zdobyła pewną swobodę i na tej zdobyczy poprzestała. Nie ożywiają jej wielkie aspiracye, a nawet z rzeczy wielkich zaczyna robić małe. Duch jej zmalał.

Emancypacya jako taka jest placówką, dawno zdobytą i dobrowolnie porzuconą. Gineceum jest „ein Privatvergnuegen." Natomiast nie słyszę, aby z ust tak zwanych postępowych kobiet padały hasła nowe, nie widzę dalszych dążeń, nie widzę szermierek. Widzę mniej lub więcej ruchliwe mieszczanki, które mogą dziś swobodnie i bez opieki spacerować po mieście, bywać w towarzystwach bez mam i cioć, a nawet podróżować bez opieki. Nieraz wiek zabezpiecza je przed jakąkolwiek pokusą. Uprawiają nawet cnoty, a raczej cnotki, te, za które się cierpi, i te, za które się nie cierpi. Ale to wszystko jest dziwnie małe, dziwnie konwencyonalne i przerażająco popularne. Wielkich dążeń, szerokich aspiracyj, żądań zasadniczych — tego nietylko niema, ale kobiety stają nawet temu w poprzek drogi.

Kiedyś, kiedyś wszystkie nadzieje nasze zwykliśmy byli opierać na młodzieży i na kobietach. Było to dowodem słabości dorosłych mężczyzn. Dziś takie czasy nastały, iż nieraz dorosły mężczyzna bardziej się upomina o prawa młodości i o prawa kobiety, niż młodość i kobieta.

Tylko narody bardzo niewyrobione liczą na podobne rezerwy. Nam nie chodzi o to, aby kobieta zajęła u nas jakieś stanowisko przodujące. Nie, nam tylko o to chodzi, aby kobieta postępowa zrównała się z pierwszymi szeregami lub przynajmniej poczuła znowu aspiracye ku temu. Dziś kobieta korzysta z równouprawnienia w sztuce, w literaturze, w towarzystwie; natomiast nie korzysta ze swobody kształcenia się, zadawala się wiedzą zdawkową, tanio nabytą i niewiele wartą.

Dyletantyzm, pogoń za popularnością, obnoszenie latarek w biały dzień i kucie dogmacików społecznych, oto niestety rysy znamienne.

A przecie — ilekroć jest jakaś sprawa na dobie, ilekroć zaboli serce i wątroba się poruszy — warto od tych postępowych wsteczniczek pójść do naszych prawdziwie światłych, dzielnych kobiet...

Subtelniejsze, sprawiedliwsze, moralniejsze, w lot chwycą myśl naszą, a nieraz dalej ją poniosą, niż my...

Andrzej Niemojewski.



BADANIA NAUKOWE.

Sąd historyi o roku 1846.

> Dajcie, bracie, kubeł wody
> Ręce myć, gębę myć.
> *St. Wyspiański.*

Ile razy zwrócimy się myślą wstecz i przebiegniemy dzieje nasze ostatniego stulecia, tylokrotnie spotkamy się z okropnem widmem roku 1846, kiedy to wśród nas było „mnóstwo Kainów." Rok to prawdziwie legendowy: na tle czarnej otchłani piekielnej, jak szatan i czarownice dokoła apokaliptycznego kotła w prologu do „Kordyana," przesuwają się jakieś sylwetki potworne, o nieludzkich kształtach, ze zbluzganemi krwią rękoma i twarzą, ze strasznie rozwartą źrenicą: Jakób Szela, kat bezbronnych i niewinnych, starostowie cyrkularni, potrząsający workiem ze „srebrnikami judaszowymi" nad głowami rozjuszonego tłumu, nad blaskami kos bratobójczych; urzędnicy, poprzebierani w sukmany, podżegający do rzezi, ludzie-hyeny i ludzie-szakale.

Taki obraz, iście dantejski, przedstawiał się oczom naszym, gdy przeglądaliśmy w kilku zeszytach *Biblioteki Warszawskiej* szereg artykułów p. Bronisława Łozińskiego, poświęconych upiornym wspomnieniom roku 1846 *). Autor ich wchodzi głęboko w przyczyny katastrofy i na ogólnem tle ówczesnej biurokracyi austryacko-galicyjskiej kreśli kilka postaci, najbardziej zbrodniczych, najobficiej zbroczonych krwią ofiar — generała Benedeka i starosty Breinla.

Wywody p. Łozińskiego zasługują na wiarę, opierał się on bowiem na świadectwach najwiarogodniejszych: tajnych i publicznych wynurzeniach samych sprawców rzezi: Benedeka i Breinla, ich papierach, pamiętnikach, listach, niedawno wydanych lub przygotowywanych do wydania. I zestawiwszy te ich własne zeznania, oświetliwszy je krytycyzmem prawno-historycznym, p. Łoziński wnosi wyrok potępienia: winni są zbrodni.

A jest to sprawa, w której dwu zdań być nie może. Wytropienie winowajców rzezi r. 1846 należy do najtrudniejszych i najbardziej zawikłanych śledztw dziejowo-prawniczych. Krzyk zgrozy, który się rozległ nazajutrz po katastrofie, wydany przez tysiące głosów polskich, oskarżenie urzędników austryackich o wspólnictwo zbrodni, były naturalnym odruchem serc. Ale wyrok ten, nie poparty żadnym dowodem oczywistym, archiwalnym, został bezwzględnie odrzucony przez urzędowych historyków austryackich, jako niecne oszczerstwo. Tak twierdzili i twierdzą do dziś dnia nietylko tacy apologeci biurokracyi metternichowskiej, jak Leopold Sacher-Masoch, Henryk Friedjung, ale nawet dziejopisarze o wszelkich pozorach bezstronności i krytycyzmu, jak Maurycy baron Sala.

Same fakty jednak zadają kłam sztucznym wywodom obrońców i chwalców biurokratycznej Austryi z przed r. 1848.

Dość rzucić okiem na stan polityczny ówczesnego państwa austryackiego, aby przekonać się, że „coś się popsuło w monarchii Habsburgów." Pod ojcowskim płaszczykiem „dobrotliwego" cesarza Ferdynanda i pobożnego arcyksięcia Ferdynanda d'Este, który był wówczas generał-gubernatorem Galicyi, rozpanoszyła się najstraszliwsza anarchia administracyjna. Sam Metternich przyznaje się do tego smutnego stanu rzeczy, mówiąc: „W ciągu lat, które upłynęły od nastania ogólnego pokoju, żądałem przedewszystkiem stworzenia władzy rządowej, bez której niema państwa. *Moje usiłowania były daremne*... Moje ministeryum, a także moja indywidualność reprezentowała potęgę Austryi na zewnątrz, *a tymczasem wewnątrz powstała próżnia*..."

Nie mamy powodu nie dowierzać szczerości tych poufnych zwierzeń wielkiego ministra Austryi pokongresowej, osobie, bądź co bądź, dobrze poinformowanej. I jeżeli dalej powiada on, że „maszyna państwowa była w swoim ruchu tamowana, najwyższe sfery zaprzątane najrozmaitszemi sprawami, a *odpowiedzialność niższych władz została uchylona*," sądzimy, że w tych wyrazach kryje się klucz zagadki r. 1846.

Ciemności nocne sprzyjają zbójom i złodziejom, w cuchnącem bagnie lubią się ukrywać żmije, jaszczurki i wszelakie płazy, a niemoc wewnętrzna państwa austryackiego była tym podatnym gruntem, który wydawał takich Breinlów, Vitzthumów i innych przedstawicieli „niższych władz," których „odpowiedzialność została uchylona." Rozpanoszyła się najwstrętniejsza, wprost potworna biurokracya, a na powierzchnię bagienka urzędniczo-policyjnego wypływały osobniki najśmielsze w swej bezkarności, karyerowicze i łotrzykowie, których jedynym celem i marzeniem życia było obłowić się, wywyższyć kosztem innych. Dla tych pionierów cywilizacyi austryackiej Galicya była krainą obiecaną, prawdziwą kopalnią złota, orderów, odznaczeń i awansów.

Jedno uczucie podzielali oni ze swym wielkim szefem — Metternichem: paniczny strach przed żywiołami rewolucyjnymi. Serdeczna korespondencya między szefem policyi poznańskiej, baronem Minutollim, a gubernium lwowskiem, cała sieć zasadzek, któremi otaczano rzeczywistych lub mniemanych emisaryuszów polskich, świadczy wymownie o ówczesnym nastroju ducha władz Austryi i Galicyi. Breinl dostaje drżączki nerwowej na dźwięk wyrazu: rewolucyonista, emisaryusz, powstanie, a po głowie majaczy mu się widmo nieszporów sycylijskich.

Dla tych ludzi pierwszem zadaniem było gnębienie spiskowców, a w ich mniemaniu Polak, a zwłaszcza szlachcic polski, był to synonim spiskowca, więc w znikczemnia-

*) *Biblioteka Warszawska*, 1902, maj, czerwiec i grudzień; 1903 — styczeń.

łych ich duszach wyrodziła się dzika, żywiołowa nienawiść do szlachty polskiej. „Nie dam spokoju tym dumnym panom — mówił do chłopów komisarz cyrkularny w Przemyślu, Tobiaczek — dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyła za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic, jeżdżący czterema końmi, o lasce chodzić nie będzie.“

Trzeba więc było osaczyć żywioł polski w Galicyi, jak dzikiego zwierza w kniei. Ale brakło środków ku temu, wojska było niewiele, jego naczelnicy, jak generał Collin, jak komendant tarnowski Czollich, byli ludźmi, co się zowie, niedołężnymi, administracya nie działała, chwycono się więc iście szatańskiego środka, użyto ludu, jako narzędzia pognębienia szlachty. Głównem zadaniem biurokracyi galicyjskiej w osobie starostów, komisarzy itd. było wykopanie przepaści między dworem a ludem, wmówienie w ten lud nieszczęśliwy, od szeregu lat trapiony nieurodzajem i głodem, że panowie są jego naturalnymi wrogami, że — jak mówi p. Łoziński — „szlachcic polski, uciskający go pańszczyzną, jest zarazem niepoprawnym spiskowcem przeciw państwu i cesarzowi, że ucisk pańszczyzniany i spiskowość idą w parze, a wobec obu tych dążności jedynie w biurokracyi znaleźć można siłę odporną i obronną.“

Oto tło krwawych wypadków 1846 r. Oto, gdzie należy szukać winowajców rzezi. A jeżeli chodzi o dowody winy, to i o nie nietrudno.

Historycy austryaccy dowodzą z uporem, godnym lepszej sprawy, że wypadki krwawego roku były strasznym odwetem za „krzywdę wiekową,“ za ucisk ludu i pańszczyznę, że nie były i nie mogły być wywołane przez władze. A oto rozkaz starosty lwowskiego, Millbachera, do mandataryusza Błockiego z d. 22 lutego 1846 r., rozkaz, godny przytoczenia w całości: „Zwołaj pan wszystkich chłopów z kosami i każ im pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urlopnicy powinni pomagać, pan komisarz Klossorz przybędzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom w Horożanie. Ze 100 chłopami możesz pan ubić stu takich drabów; w tarnowskim cyrkule chłopi poradzili sobie dobrze i schwytali 108, pomiędzy nimi czterech hrabiów, i zabili 27. Masz pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla najjaśniejszego pana, i oczekuję też tego; odwaga i energiczne działanie doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donoś mi pan o wszystkiem.“

Takich cennych a wymownych dokumentów znalazłoby się niewątpliwie więcej, gdyby — nie były przezornie niszczone dla zatarcia śladów.

Ale jak na czole Balladyny pozostała niezmyta plamka krwi, tak i winowajcy z r. 1846 nie potrafili zgładzić doszczętnie wszystkich śladów zbrodni. Ich poufne zwierzenia, ogłoszone niedawno, zawierają takie szczegóły, o których ukrycie właśnie im najbardziej chodziło. Jest to niezręczność, często postrzegana w sprawach kryminalnych.

Przeczy się np. jak najbardziej stanowczo nieprawdopodobnemu, podłemu oszczerstwu, jakoby urzędnicy austryaccy mieli stawać na czele band chłopskich. Ale oto Benedek w raporcie z bitwy, a raczej rzezi pod Gdowem opowiada dobrodusznie o „przywódcy chłopów, *kwieskowanym* urzędniku Krynickim“; a dodajmy, że równocześnie z gubernium lwowskiego, d. 23 lutego 1846 r., a więc już po pierwszych rzeziach w Tarnowskiem, wychodzi okólnik do szesnastu starostów, który głosi: „Z powodu wybuchłego już powstania w kilku cyrkułach, poleca się urzędom cyrkularnym wysyłanie urzędników do wsi, aby wzywali poddanych do współdziałania, do stawiania oporu powstańcom i do ich chwytania.“ Łatwo się domyśleć, jakie było przeznaczenie tych urzędników.

Oni — niewinni! A dlaczego nie starali się zapobiedz nieszczęściu, chociaż wiedzieli o niem, chociaż jeden urzędnik z lichą eskortą z łatwością jaką taką przemową mógł rozproszyć i uspokoić setki chłopów? dlaczego wykonawcy ich piekielnych knowań, w rodzaju Jakóba Szeli, uchodzili bezkarnie? dlaczego Breinl o tymże Szeli odzywa się z taką szczerą, koleżeńską serdecznością? dlaczego lekceważono straszne wypadki, a może w duchu cieszono się z nich, i nikomu do głowy nie przyszło bronić nieszczęśliwych ofiar rzezi? dlaczego wszelkie relacye o rzezi i skargi starannie składano *ad acta* i nie pozwalano jękom mordowanych przedostać się, broń Boże, do Wiednia? a jeżeli nawet nadużycia urzędników dochodziły do wiadomości publicznej, winowajcom uchodziło to bezkarnie, bo wszak byli to zresztą ludzie „znani korzystnie z gorliwości i zręczności.“

Oni — niewinni! A ów Benedek, bohater z 1846 r., wielki zwycięzca z pod Gdowa, mniej szczęśliwy wódz pod Sadową, któremu chwalcy urzędowo-austryaccy chcą stawiać pomniki, jakże nędzny! W krótkiem sprawozdaniu o wypadkach pod Gdowem, pisanem nazajutrz po bitwie dla arcyksięcia Ferdynanda d'Este, występuje bez maski, mówi o uderzeniu „dzikiej hordy chłopskiej na nieszczęśliwe ofiary“ i „rozpoczęciu najstraszniejszej sceny dzikiej wojny, w której chłop udział bierze,“ o „krótkiem masakrowaniu, którego walką nazwać nie można.“ Ale w obszernym raporcie bierze na siebie rolę zbawcy ojczyzny i tryumfatora, prawi o dzielnem natarciu, wściekłym szturmie, zawziętym oporze. Wprawdzie przy tem wszystkiem postradał tylko jednego lekko kontuzyowanego żołnierza, dwa konie i... jedną kolbę, ale to nie przeszkodziło mu starać się o order Maryi Teresy w nagrodę za zwycięztwo. Ocalił nawet kilku młodzieńców w ogólnej, nieludzkiej rzezi, ale na resztę — nie miał czasu. Przyznaje, że każdemu włościaninowi, biorącemu udział w wyprawie, obiecano po centnarze soli, a za każdego żywego i zdrowo dostawionego powstańca po 5 złr., ale przecież to nie są owe legendowe „krwawe premia.“

Gdzie zaś! Breinl, którego głównie posądzano o tę zbrodnię, nazywa tę pogłoskę „nikczemnem, samem w sobie niedorzecznem zmyśleniem.“ Bo i skądby wziął tyle pieniędzy, by mu starczyło choćby po 5 złr. za głowę zabitego lub pojmanego powstańca? Lecz trudno mu się jakoś wyliczyć z powierzonych funduszów, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że miał do rozporządzenia sumy, wydane z prezydyum krajowego, a zebrane na głodnych. Zresztą Breinl sam się przyznaje, że zgromadzonym w Tarnowie d. 18 lutego przedstawicielom gmin okolicznych wyjaśniał „prawo obrony koniecznej“ — piękna musiała być prelekcya! Opowiada dalej, że wynagradzał ich „małymi datkami pieniężnymi — coś, jakby zadatki na „krwawe premia.“ Mówi też, że płacił chłopom za odstawienie broni i amunicyi, ranionych i zabitych — zwykła należność za podwody! Trzeba też było — tłomaczy się — rozdzielać pieniądze między chłopów, którzy, przybywszy do miasta z podwodami, całe dnie pozostawali bez pożywienia, a także wynagradzać tych z pomiędzy nich, którzy ujęli i odstawili w całości „niebezpiecznych podżegaczy i ważnych przywódców powstania.“

Oczywiście, chodzi tu tylko o nazwę „krwawe premia.“ Reszty zbyteczne byłoby dochodzić. Dowody zgromadzone w ilości dostatecznej, podsądni niebacznie sami się oskarżyli, a wyrok historyi został już wydany i pozostanie nieprzeparty ku wiecznej pamiątce biurokracyi austryackiej, która nie cofała się przed żadnymi środkami ku zgnieceniu i zagładzie żywiołu polskiego w Galicyi. Wyrok straszny, ale sprawiedliwy.

H. Galle.

Poradnik dla samouków.

Część V, zeszyt I, z ilustracyami 558 str. Wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego z zapomogi Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1903 cena 2 rb.)

Niejednokrotnie zwracano w prasie naszej uwagę na nienormalny, że nie powiem — chorobliwy objaw, dający się zauważyć u nas wśród czytających, którzy, uganiając się za lekturą lekką, zaniedbują odżywiania umysłów dziełami treści poważniejszej — naukowej.

Podawano nawet za przyczynę tego smutnego objawu niewątpliwą właściwość charakteru naszego społeczeństwa: wybujałą wyobraźnię i fantazyę. Polotem myśli górujemy może nad wielu innymi narodami, lecz brak nam ścisłości logicznego rozumowania, brak głębszych podstaw naukowych do wyrabiania samoistnego, trwałego sądu, a wskutek tego jesteśmy chwiejni, niezdecydowani w najżywotniejszych nawet sprawach osobistych, a co za tem idzie — i społecznych.

Na obronę w tak niekorzystnem świetle przedstawionego u nas czytelnictwa dałoby się może powiedzieć, że niezawsze brak apetytu do podanej potrawy składać można na karb niedyspozycyi gości zaproszonych do stołu: owszem winić w tem nieraz należy — kucharza, który potraw nie umiał przygotować odpowiednio do gustu wybrednego podniebienia i sił sprawności żołądkowej.

Brak wielki zajmująco i dostępnie napisanych książek naukowych jest u nas zjawiskiem niewątpliwie chronicznem, zjawiskiem smutnem, lecz w przyczynach swoich dość zrozumiałem.

Od lat kilku — zdaje się — zaszły pod tym względem pewne zmiany na lepsze.

Nielicznym pracownikom na polu naukowem przybył pewien zastęp sił młodych. Powstało też bardzo szczęśliwie pomyślane wydawnictwo *Poradnika dla samouków*. Wydawnictwo to, podjęte i prowadzone z jednej strony w sposób bardzo umiejętny i systematyczny, podało czytelnikom cenne wskazówki, skąd i jak czerpać należy niezbędny materyał do samokształcenia, a z drugiej — było niejako bilansem, obrachunkiem stanu naszego piśmiennictwa popularno-naukowego. Już część pierwsza tego wydawnictwa wykazała, co posiadamy w każdym z działów nauki, i jakie w tych działach istnieją braki.

Potrzeba takiego wydawnictwa ujawniona i dowiedziona została wkrótce po wyjściu z druku I części *Poradnik*, która została wyczerpana i już w r. 1901 ukazała się w wydaniu drugiem (dopełnionem).

Obecnie mamy już przed sobą zeszyt I części V-ej *Poradnika dla samouków*, — zeszyt poświęcony nie bibliografii, jak pierwsze cztery części, lecz zawierający prace oryginalne, objęte ogólnym tytułem „Świat i człowiek.“

Zgodnie z tem brzmieniem część V *Poradnika* poświęcona została sprawie powstania i ewolucyi „Świata,“ historyi naszego globu, filogenezie świata organicznego i ewolucyi rodzaju ludzkiego. Na zbiorową tę pracę złożyły się pióra S. Kramsztyka („Wszechświat i jego rozwój“), W. Nałkowskiego („Rozwój ziemi“), J. Nusbauma („Rozwój życia organicznego“), J. Eismonda („Genealogia zwierząt“) i L. Krzywickiego („Rozwój autropologiczny człowieka“ oraz „Rozwój kultury“). Treściwe i dostępnie skreślone artykuły te stanowią

wybornie powiązane z sobą obrazy stopniowego kształtowania się ewolucyjnego ciał natury martwej i ożywionej, uwieńczonego uduchowioną — bo żyjącą przeważnie życiem psychicznem — istotą — człowiekiem.

Stosunek człowieka do wszechświata i najbliższego otoczenia, oraz jego stanowisko w ustroju społecznym otrzymuje w umyśle czytelnika po uważnem przeczytaniu tej książki gruntowne przyrodnicze podstawy.

Obok objektywnego i zwięzłego przedstawienia najnowszych wyników nauki autorowie nie pominęli najważniejszych hipotez, które fakta uogólniają i o całokształcie omawianej gałęzi jasne dają pojęcie. Prawie we wszystkich artykułach znajdujemy punkta wytyczne głównych etapów historyi nauk poszczególnych.

Po gruntownem przejrzeniu omawianej pracy *udało* mi się zaledwo takie nieścisłości *wyłowić:* że za pierwsze „zwierzęta lądowe“ podano „skorpiony“ (str. 129), „twory morskie *nauczyły* się stopniowo pływać“ (str. 130), „pierwszym tworem, który posiadał skrzydła ma być szarańcza“ (str. 132) i „u wszystkich niemal zwierząt tkankowych, wyjąwszy jamochłony i robaki płaskie, przewód pokarmowy opatrzony jest otworem ust itd.“ (str. 194), (skąd wynikałoby, że jamochłony i robaki płaskie ust nie posiadają — a przecież tak nie jest).

Ostatnią nieścisłość przypisać oczywiście należy wadliwemu układowi zdania, gdyż na rysunku (str. 195), wyobrażającym wirka (robak płaski), otwór ustny przedstawiony został najwyraźniej. Co do trzech innych zdań (str. 129, 130, 132), to wprawdzie kwestye, których one dotyczą, należą do sfery hypotez, jak wogóle wszystkie kwestye dotyczące życia w odległych okresach geologicznych, lecz większość biologów za pierwsze zwierzęta lądowe uważa nie skorpiony, tylko istoty zaginione, podobne do pratchawca (Peripatus); za pierwsze zaś owady latające, nie szarańczę, lecz termity (ob. dr. H. Simroth *Die Entstehung der Landthiere* 1891).

Ze zdania wreszcie, „że twory morskie nauczyły się stopniowo pływać,“ możnaby wywnioskować, iż morska fauna pelagiczna powstała z fauny, zamieszkującej na dnie morza, podczas gdy w biologii utarł się pogląd odwrotny: za najstarsze istoty geologicznie uważane są organizmy planktoniczne, tj. pływające w górnych warstwach wody, od nich zaś powstać miały wszelkie inne.

Po za tem bogate w treść a zwięźle i systematycznie skreślone artykuły czytają się lekko i z zajęciem, utrwalając w umyśle czytelnika wiele „praw“ podstawowych, działających w naturze martwej i ożywionej, a przedewszystkiem praw i przyczyn ewolucyi.

Wiele miejsca poświęcono głównemu czynnikowi ewolucyi — zmienności; zebrano najwymowniejsze dowody iż „wszystko płynie, i nic nie ma stałego, prócz zmienności.“

Wiarę czytelnika w tożsamość praw natury, rządzących tak zjawiskami geologicznemi, jak biologicznemi i społecznemi utrwalić muszą te ustępy, w których autorowie, odbiegając od przedmiotu, szukają porównań w życiu społecznem.

„Wszystkie części organizmu są jak najściślej związane ze sobą czynnościowo. Niech do jednej części nastąpi obfitszy, dajmy na to, dowóz soków odżywczych w związku ze spotęgowaną czynnością, a natychmiast odbije się to na częściach sąsiednich. Ta współzależność składowych części w organizmie zwierzęcym lub roślinnym jest tak samo potężną, jak w organizmie społecznym. Silniejszy rozwój lub rozrost jednej warstwy społecznej wpływa dodatnio lub ujemnie na warstwy inne; usunięcie jednych czynników życia ustroju społecznego warunkuje niechybnie zmiany w innych czynnikach.“ (str. 224). „Te same nasze Karpaty patrzyły na łuny muzułmańskich zagonów i na dzisiejszy zgiełk przemysłu naftowego, z jego szachrajstwami i krachami; — tylko nędza ludu tamtejszego zdaje się być równie niezmienną, równie wieczną jak góry....“ (str. 65).

Szkoda, że podobnych wycieczek nie zrobiono przy omawianiu sprawy dziedziczności, gdyż należyte jej spopularyzowanie i wykazanie w dostępny dla samouków sposób, iż czem jest dla organizmów dziedziczność, tem dla społeczeństwa historya jego przeszłości, uchroniłoby może niejednego od jednostronnego przejęcia się doktrynami, znoszącemi indywidualne różnice społeczeństw — różnice, gwarantujące wzajemne się ścieranie w walce o byt, a zatem postęp. Gdyż „życie całe, świat cały jest nieustannem ścieraniem się sił, czyli różnych przejawów energii. Wszystko, co nie stawia dostatecznego oporu, trwa krótko, ginie; pozostaje dłużej to tylko, co odporne, odpowiednio przystosowane; stąd też owa cudowna harmonia w naturze, ów ład, ów porządek, jaki w wyższych formach życia zapanowywa zwykle tylko kosztem niewymownych bólów i krzywd“ (str. 109).

Zeszyt II tej części *Poradnika*, poświęconej wykładowi głównych zagadnień wiedzy w świetle teoryi rozwoju, ma wyjść niebawem z druku i obejmie następujące rozdziały: „Rozwój stosunków gospodarczych“ i „Rozwój społeczny wśród zwierząt i u rodzaju ludzkiego“ w opracowaniu L. Krzywickiego, oraz „Rozwój życia psychicznego“ przez A. Mahrburga (około 30 arkuszy druku, z ilustracyami; cena— około rubla).

Kazimierz Kulwieć.



LITERATURA POLSKA.

Wacław Sieroszewski: *Powieści chińskie.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa; Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1903, str. 348.

Dwie nowele i jeden obszerniejszy utwór powieściowy złożyły się na nowy tom opowiadań Wacława Sieroszewskiego, których cechę, wspólną z pracami poprzedniemi, stanowi tło egzotyczne, odmienne zresztą od tego, do którego przyzwyczaił nas już autor „Na kresach lasów“ i „W matni,“ a dalej — szerokie tchnienie epiczne, właściwe wszystkim jego utworom, oraz głębokie współczucie dla bólów, cierpień i wszelkich krzywd ludzkich, niezależnie od stopnia geograficznego i poziomu kultury, stanowiące zasadniczy rys organizacyi duchowej i artystycznej powieściopisarza naszego. „Pojąłem — spowiadał się autor przed paru laty—że ból z jednakowem okrucieństwem przeszywa każdą istotę ludzką — i wszystkie serca, drżące od zmian życia, stały mi się jednakowo zrozumiałe, jednakowo pożałowania godne, choć niejednakowo blizkie...“ „Wśród ludów obcych, w świątyniach cudzych — pisał niedawno gdzieindziej — nauczylibyśmy się szanować siebie samych i zobaczylibyśmy, że łzy i krew mają wszędzie ten sam blask i kolor.“ Te wysoce humanitarne idee, oparte na głębokiej miłości wszystkiego, co ludzkie, opromieniają, jak jasne, grzejące słońce, całą twórczość Sieroszewskiego, który w nowej swej książce sformułował krótko, lecz dobitnie, hasło przewodnie swego życia: „Przez lud swój dla ludzkości!“

W opowiadaniach swoich autor przenosi nas tym razem do kraju, znanego i rozważanego u nas dotąd z humorystycznej przeważnie, warkoczowo-porcelanowej strony, do olbrzymich, niezbadanych prawie i nęcących swą tajemniczością Chin; wprowadza szereg miejscowych typów i sylwetek, malowanych z właściwem mu intuicyjnem odczuwaniem dusz ludzkich, wyrosłych na dalekich i obcych nam podściełiskach; roztacza przed nami szereg krajobrazów, skąpanych w zieleni i słońcu południowem, to znów przerażających dziką grozą pustyni niezmierzonych—i wreszcie, jak to widzieliśmy już w jego powieściach syberyjskich, bądź odtwarza w sposób dramatyczny fatalne skutki zetknięcia się żywiołów miejscowych z tak zwaną kulturą europejską, bądź też — w to otoczenie obce i wrogie — rzuca jakąś jednostkę, blizką nam i drogą, pozwalając zajrzeć aż do samej głębi jej kochającej i tęskniącej duszy.

Pierwszą w tym zbiorze nowelę („Uang-Ming-Tse“) przypominają sobie zapewne czytelnicy nasi z odcinka *Prawdy*. W tym ładnym obrazku rodzajowym, pozwalającym na kilkunastu zaledwie stronicach przyjrzeć się zblizka życiu domowemu wieśniaków chińskich, ich troskom i radościom, nadziejom i rozpaczom, świat europejski nie uczestniczy jeszcze bezpośrednio. Lecz odczuwamy tam już zbliżanie się tej jego niszczącej potęgi zabierającej ziemię rolnikom, burzącej groby i wyrzucającej kości umarłych; mówiącej o miłości i pokoju, a wiodącej ze sobą żołnierzy, którzy, nie szanując obyczajów krajowych, zmuszają do szanowania obcych i do wyrzekania się — siebie samego. Wieść tylko dochodzi o okrucieństwach „białych barbarzyńców,“ wieść, wywołująca przerażenie i popłoch w spokojnej wiosce chińskiej, ale zarazem chęć zemsty, odwetu, a przedewszystkiem — obrony. „Synowie nieba zjednoczą się i wyjdą wcześniej, i bez względu na to, czy umrą, czy zwyciężą, nie oddadzą swej pięknej Krainy Kwiatów rudym dyabłom...“ Lecz ta pobudka bojowa, ta konieczność twarda i nieunikniona, uderza, jak grom, w serca pojedynczych rodzin i osób, pogrążając je w żałobie i rozpaczy. Obraz starego Uanga i jego małżonki, wyciągającej z jękiem boleści ręce do syna, odchodzącego w świat daleki, z którego wojna nie pozwoli mu już może wrócić do nich nigdy, ma w sobie jakąś moc tragiczną i na długo zostaje w pamięci.

Dramatyczniejszem może jeszcze w pomyśle, lecz mniej skoncentrowanem w wykonaniu, jest drugie z rzędu opowiadanie, p. t. „Kulisi,“ odtwarzające bolesne dzieje dwóch braci-wyrobników, wygnanych przez głód i nędzę ze stron rodzinnych i szukających napróżno zarobku w miastach i wioskach swej obszernej ojczyzny, aż wreszcie znajdują go wraz z ohydną niewolą i śmiercią na dnie okrętu, należącego do — cywilizatorów białych. Są w tem opowiadaniu miejsca, budzące współczucie i wzruszenie, jest jednak zarazem pewne przeładowanie brzemienia ciosów, spadających na głowy nieszczęśliwych „kulisów“ chińskich, okradanych w swej wędrówce przez złodziejów, oszukiwanych i wyzyskiwanych przez przedsiebiorców, odtrącanych i poniewieranych przez swoich i obcych, a przy tem wszystkiem bezradnych i naiwnych, jak dzieci. Tempo opowiadania, zrazu powolne dosyć, przyspieszone zostało zanadto w ustępach ostatnich, skutkiem czego pobyt „kulisów“ na okręcie nosi cechy malowidła zbyt pobieżnego i ogólnikowego. Wstrząsające wrażenie wywiera jednak zakończenie samo, ten obraz okropny, gdy z tonącego statku ratują się na łodziach wszyscy biali, zostawiając na dnie okrętu, na pastwę

wzburzonych fal morskich, całą gromadę Chińczyków, którzy od lat wielu oczekiwali z utęsknieniem niewypowiedzianem powrotu do ukochanej ojczyzny... „W dole, pod nimi, coraz wyżej i wyżej podnosiła się z właściwym jej szumem czarna woda topieli. Trupy pomarłych kulisów pływały po niej gęstą, zbitą warstwą, jak roje much, utopionych w słoju-pułapce. Raz w raz słychać było plusk nowych ofiar, spadających w milczeniu z tego wianka, co oplótł drabinę. Woda również wznosiła się wciąż i łykała cal po calu żywą girlandę. Ostatni zginął Szang-Si (bohater noweli), wiszący u samej kraty na silnych ramionach, z twarzą, zwróconą ku niebu...“

„Jang-Hun-Tsy“ (zamorski dyabeł)— to już nie nowela, nie epizod pojedynczy, lecz utwór powieściowy, zakreślony na szerszą skalę, gdzie autor odtwarza szczegółowo dzieje młodego entuzyasty i marzyciela, skazanego przez kaprys losu i wolę wuja, bogatego plantatora i fabrykanta herbaty, na dłuższy pobyt wśród Chińczyków. Opowiadanie całe składa się z trzech części („Rozdroże,“ „W pustyniach Mongolii,“ „W państwie kwiatów“), luźnie dosyć powiązanych z sobą. Pierwsza — to obrazek z życia zamieszkałej na Syberyi rodziny polskiej, z sympatyczną staruszką-matką, której syn, marzący o studyach uniwersyteckich w kraju, skierowany zostaje niespodziewanie do stolicy państwa chińskiego. W drugiej, zawierającej żywy i barwny opis przeprawy młodego Brzeskiego wraz z pewną ekspedycyą naukową przez stepy i pustynie Mongolii, daje autor upust zamiłowaniu swemu do odtwarzania nadzwyczajnych przygód i wydarzeń. W niektórych ustępach, istotnie, że przypomnimy błąkanie się karawany wśród bezgranicznej pustyni, brak wody, przygodę z przewodnikami i grozę śmierci, która zawisła nad bohaterem utworu, a potem i nad ekspedycyą całą, powieściopisarz utrzymuje uwagę czytelnika w wysokiem napięciu i gra na jego nerwach, jak na strunach.

Najciekawszą i najbogatszą w treść jest jednak niewątpliwie część trzecia, szczegółami pewnymi (dramatycznie zakończona miłość między Brzeskim i pięknem dziewczęciem chińskiem, cywilizatorskie i altruistyczne porywy młodego marzyciela, stosunek do niego otoczenia) przypominająca nieco „Na kresach lasów.“ I tu bohater opowiadania, w przeciwieństwie do innych przedstawicieli „cywilizacyi“ europejskiej, traktuje napół przebiegłych, napół naiwnych krajowców, wyzyskujących go zresztą przy każdej sposobności, jako swych współbraci i bliźnich. Lecz i jego serce nie znajduje w tem otoczeniu zadowolenia i szczęścia, nie może się zdobyć na celowe i pożyteczne wcielenie swych dążeń szlachetniejszych i wyrywa się do otoczenia innego, do innych ludzi, innego powietrza i nieba. „Ciężkie jakieś złomy kamienne i chmury posępne zaległy mu serce. Błądził wśród nich, nie wiedząc, kogo kochać, kogo żałować i jak pomagać. Kirgizi, Mongołowie, Chińczycy, ciemni, ubodzy, trędowaci, uciskani, prześladowani, dręczeni przez wielką niedolę, tłumy całe okropnych mar żółtych, czarnych, białych, wyciągały ku niemu ręce. Każdy żądał wszystkiego. Najmniejsze z ich dolegliwości wymagały ogromu poświęcenia, a on jedno miał tylko życie do ofiarowania. Komu więc i za co je oddać?! Do kraju!.. do kraju!... jęczał wtedy. Tu noc, tam dla niego błyszczał dzień jasny. Tu umysł jego otaczały mgły, tam, zdawało mu się, że odrazu zrozumie, co robić ma ze sobą“..

W epizodzie romantycznym między młodą Chinką a Brzeskim jest wiele szczerej poezyi i dużo — nieporozumienia wzajemnego; w charakterystyce stosunków, panujących wśród Europejczyków na obczyźnie, niemało smutnej obserwacyi życiowej. Do epizodów ciekawszych należą rozmowy Brzeskiego z księdzem Płońskim i sędziwym mnichem chińskim Szań-Jeo; do sylwetek lepszych — postać nauczyciela Siań-Szań, ojca pięknej Lien, zwanego inaczej — „Władcą wrót zachodnich.“

Wł. Bukowiński.

ZE SZTUKI.

Męcina Krzesz, Anna Costenoble i inni.

Wyczekiwaniu na otwarcie wystawy „Sztuki“ krakowskiej, która w Tow. Zachęty zajmie miejsce, opróżnione po bardzo ciekawej wystawie Okręźnej, zajrzyjmy tymczasem do Salonu Krywulta.

Na afiszach zjawiły się nazwiska Męciny Krzesza i Anny Costenoble.

Z pojedyńczych prac pierwszego największą rozmiarami stanowi „Sen Dzieciątka.“ W stajence w żłobku śpi nowonarodzony Chrystus, a obok Matka Boska i św. Józef jakby nadsłuchują majaczenia. Wielki, krwawy, świetlany krzyż unosi się w powietrzu i w niefortunnem przeoczeniu wyrasta jak ze łba osła sennego, stojącego obok wołu. Po za pomysłem owego zjawiska krzyża, cała kompozycya ułożona jest według steoretypowego szablonu różnych „stajenek Betleemskich.“ Technicznie obraz wykonany został poprawnie.

Daleko silniej odczutą i artystyczniejszą jest „Śmierć biednego grajka,“ który leży na śniegu, a poprzez gęstwinę krzaków widać gasnące purpurowe niebo dnia zimowego.

Obrazami ideowemi mają też być „Ofiary losu“ para ludzi, z wyrazem strapienia na twarzach, idąca z dzieckiem, niewiadomo dokąd, i „Anioł litości,“ stojący w progu domostwa obok młodego ślepca żebrzącego. Żebrak, realistycznie traktowany, jest bardzo dobrem studyum z natury, które gwoli *zrobienia kompozycyi*, opatrzono owym aniołem banalnym i licho malowanym.

Honorowe miejsce zajmuje cykl z siedmiu sporych obrazów olejnych p. t. „Ojcze nasz.“ Krótkie i proste słowa modlitwy, powtarzanej przez miliony codziennie, zawierają wszystko to, o co wierzący człowiek może prosić i za co może dziękować temu, kogo uważa za swego Stwórcę. Niedość jest odmawiać pacierze, trzeba być zarówno filozofem, jak i pełnym fantazyi kompozytorem, żeby tym kilku zdaniom nadać równie potężne formy plastyczne, jak te, które one posiadają pod postacią symbolów w modlitwie codziennej.

Zadanie to niezmiernie trudne, to też ogół artystów, biorących się do jego rozwiązania, daje najczęściej utwory banalne, jak ogół wierzących klepie pacierz gorliwie, ale bezmyślnie.

Pan Męcina-Krzesz w swym cyklu miał niejednokrotnie szczęśliwe pomysły malarskie, nie miał ich jednak, jako myśliciel i kompozytor. Najlepszym i oryginalnym w pomyśle jest obraz „Święć się imię Twoje,“ gdzie przed wspaniałym i bogatym ołtarzem, jaki może wywrzeć silne wrażenie na prostaczków, leży krzyżem lub modli się troje włościan. Dla podniesienia świetności, artysta dał za ołtarzem tło ze słonecznej, bujnej zieleni drzew i krzewów, zamiast przedłużyć wnętrze kościelne. Ołtarz w ten sposób stał się czemś uduchowionem, zjawiskiem wspaniałem i słonecznem, źródłem piękna i światła.

„Bądź wola Twoja...“ wyrażona jest pod postacią burzy z piorunami, która niszczy rozpoczęte żniwa. Chrystus jednak zjawia się na rżysku, nie jako pocieszyciel, lecz niby ironicznie uśmiechnięty czarownik, jakby podrwiwający sobie z biedaków i mówiący do nich: „Patrzcie, co wam mogę zrobić, jeśli mi przyjdzie fantazya!“ Dobra w tym obrazie jest tylko postać młodej, klęczącej dziewczyny.

Na następnem płótnie klęczy na polu z wielkiem skupieniem i przejęciem góral i przyjmuje bochenek chleba, który mu Chrystus daje. Ale Jezus niedość poważnie jest pojęty. Krajobraz dobry, lecz kompozycya po dziecinnemu naiwna i w zbyt literalny sposób odtwarzająca słowa modlitwy.

Obraz „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ zaprzecza niemal, a nie potwierdza powyższych słów. W celi więziennej ksiądz modli się i rozgrzesza skazańca, a dla tem dobitniejszego wyjaśnienia rzeczy artysta umieścił za oknem szubienicę. Z obrazu tego dałby się taki sens moralny wyciągnąć: kapłan odpuszcza nie swoim osobistym winowajcom, ale wogóle wszystkim skruszonym, a czyni to nie w swojem imieniu, lecz w boskiem, nie jest to więc akt przebaczenia ludzkiego, ale boskiego. Jakżeż więc obraz, dowodzący niezbicie, że choć Bóg odpuścił, jednak ludzie powieszą, ma być ilustracyą danych słów pacierza?

Zdanie „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego“ stanowi jedną całość, dotyczącą raczej dziedziny moralnej, niż materyalnej. Tymczasem artysta wyraził to zdanie w dwóch obrazach. W pierwszym Chrystus powstrzymuje mordercę, chcącego siekierą zabić śpiących, a w drugim pomaga sterować tratwą w czasie powodzi i szczęśliwie dobić do brzegu. Na pierwszym Chrystus bynajmniej nie wstrzymuje od „wodzenia na pokuszenie,“ ale zbawia ode złego, i na drugim robi również to samo. Przytem wylew jest niebywale wielki, jak morze, aż do horyzontu, a za to tratwa niebywale mała i nie mogłaby unieść nawet jednego człowieka, a cóż dopiero czworo.

O ile strona ideowa nie przekracza sfery utartych komunałów, o tyle technika wykonania jest poprawną i staranną, a w dodatku treść zaczerpnięta została z motywów swojskich.

Nie można wiele powiedzieć o cyklu „Matka,“ złożonego z siedmiu obrazów. Są to tylko drobne szkice akwarelowe, które może mogłyby dopiero posłużyć do wykonania jakiej większej pracy.

Prace to pamięciowe, co, zważywszy na charakter szkicowy, możnaby było uwzględnić, gdyby nie same pomysły kompozycyjne — bardzo słabe. Zdawałoby się, że w cyklu tym postać Matki jest niezbędną i, jako symbol, panującą w każdej z kompozycyj, tymczasem we wszystkich głównemi postaciami są dwaj aniołowie i wszystko, co się tam dzieje, odbywa się za ich sprawą. Matka albo odgrywa rolę podrzędną, albo wcale jej w obrazie niema. Wykonanie słabe.

Wystawy dopełnia szereg portretów i studyów dość różnej wartości artystycznej. Obok prac, subtelnie i z prawdą rysowanych, a malowanych plastycznie, spotykamy inne, malowane twardo i skąpane w jakimś nieprzyjemnym, brudnym tonie.

Biorąc na ogół, prace p. Męciny Krzesza wykazują w portretach dużą zdolność chwytania wyrazu i plastyczność modelacyi. W kompozycyach nie przechodzą granic poprawnej rutyny i nie mają wybitniejszej indywidualności. Tak np. „Alkoholicy w paryskim szpitalu Ś-tej Anny,“ kompozycya złożona z kilkunastu postaci, mimo że jest bardzo plastyczna i malowana poprawnie, wywiera wrażenie zdjęcia migawkowego, w którem nic nie zaznacza indywidualności artysty.

* * *

Anna Costenoble ma dużo, może nawet zbyt dużo brawury w malowaniu. Gdzie opanuje tę wybujałość fałszywą, tam zdo-

bywa się na dzieła piękne i ciekawe. Są niemi bez zaprzeczenia: „Portret własny“ i „Wiosna.“ W pierwszym jest pewne naśladownictwo mistrzów dawnych, zarówno w kompozycyi, jak i w traktowaniu przedmiotu. Obok rzucona wiązanka lilij białych i kwiatków ponsowych posłużyła artysce do wyrażenia własnej charakterystyki: z tych dwóch kwiatów symbolicznych wybrała i trzyma w ręku — ponsowy.

W „Wiośnie“ poczucie pleneru jest duże. Sad owocowy, z kwitnącemi biało drzewinami, kąpie się w słońcu wiosennem. Dwoje wybornych dzieci dopełnia całości.

Za to niektóre inne prace zdradzają duże braki. W „Jesieni“ pierwszoplanowa postać alegoryczna narysowana jest najfatalniej, dalsza — naga — leży niby na trawie, nie dotykając jej jednak wcale, i jak suchy patyk wyprostowana, wyciąga z wody jabłko czy pomarańczę, pływającą po powierzchni, niby nadęty balonik. „Pokój“ (w znaczeniu przeciwieństwa z wojną), przedstawiający las i leżącego trupa nagiego, jest usiłowaniem wywołania jakiegoś nastroju, który w żaden sposób się nie zjawia. Sporo pomniejszych studyów olejnych i akwafort zapełnia salę. Szczególniej te ostatnie wykazują zaledwie początkowe i to nie najlepsze usiłowania w tym kierunku. Korzystniej przedstawia się kilka portretów olejnych.

* * *

Niewielką część wystawy zarezerwowano dla prac różnych i innych artystów. Brandt ma „Ściganego“ Tatara, który w trzy konie, objuczone łupem, chce umknąć przed pogonią. Obraz ten posiada wszystkie znane przymioty artysty.

Józefa Rapackiego „Ze starej bajki,“ jest udatnem naśladownictwem dzieł Webera.

Duży węglowy rysunek p. Łempickiej, przedstawiający dziecko, pieszczące się z matką, jest doskonałem zestawieniem wdzięku i piękna prawdziwie dziecinnego i niewinnego z prozą życia, jaka na pocciwej twarzy matki wycisnęła swe piętno. Postacie obie rysowane z dużą pewnością i smakiem. Też same przymioty posiada portret pastelowy wykwintnego mężczyzny, malowany przez Mordasewicza. Rejchena dwie główki pastelowe są miłe i poprawne, ale zbyt banalne, żeby mogły zainteresować,

Bagieńskiego „Rekonesans ułanów,“ zarówno jak i „Uliczka paryska przy oświetleniu gazowem,“ wskazują, że artysta umie obserwować. Szkoda tylko, że koń dorożkarski w rysunku pozostawia wiele do życzenia.

Dlaczego zjawił się na wystawie, z potworną nieudolnością malowany, „Winicjusz i Ligia,“ i to aż zdaleka sprowadzony, jak każe przypuszczać nazwisko autora Cesareo Paese?

Czy to import cudziemca, wyobrażającego sobie entuzyazm warszawiaków do tematów z *Quo vadis*, posunięty aż do bezkrytycyzmu? Już właśni nasi artyści rzępolą na tej strunie do uprzykrzenia, możnaby więc było uwolnić nas od tak nieudolnych wysiłków różnych „Cesareów.“

Sierp.

NA MARGINESIE.

—◆—

Studentki z cesarstwa rosyjskiego (Polki i Rosyanki) w Szwajcaryi studyują przeważnie medycynę i po ukończeniu uniwersytetu wracają do kraju, aby tam oddać się pracy w obranym zawodzie. Każdy kto ma sposobność poznać bliżej, jak one żyją i przygotowują się na obczyznie do spełnienia swych zadań w przyszłości, doznaje zdumienia wobec ich zapału do pracy i przejęcia się ważnością powołania. To nie są tak zwane „emancypantki,“ lecz rzeczywiste pracownice na polu wiedzy. Są między niemi takie, które przez cztery lata studyów nie zdołały zapoznać się z ulicami najbliższemi swego mieszkania. Nad stolikiem, przy którym pracują, zawieszają karteczkę z następującemi słowami: „Każda chwila, bezużytecznie uchodząca, jest niepowetowaną stratą na całe życie.“ Nie chcą wiedzieć, co to jest przechadzka, co to są odwiedziny, co to jest rozrywka, tylko — praca, praca i praca. Jedna z nich otrzymała w spadku sumę, która wystarczyć jej mogła tylko do ukończenia studyów. Kiedy przyszła chwila wyczerpania ostatecznego środków, dziewczyna stanęła do egzaminów z butelką trucizny w kieszeni; lecz egzamin zdała dobrze, i trucizna nie była potrzebna. Niesłychanie poważne pojmowanie zadań życia jest im wszystkim wspólne. Przyjeżdżają tu nie po to, żeby sobie ułatwić studya, gdyż aby otrzymać pozwolenie praktyki w swym kraju, muszą się poddać egzaminowi państwowemu na jednym z uniwersytetów w cesarstwie rosyjskiem—lecz aby zdobyć naukę, uzdalniającą je do pracy dla swoich.

(*Frankf. Ztg*).

Jubileusz chemii organicznej. Posiadamy już 100,000 związków organicznych, wśród których, jak mówi M. M. Richter w czasopiśmie chemicznem, wychodzącem w Coethen, kwas węglowy należy do najwcześniej poznanych, jako związek chemiczny, a indygo—jako farbnik organiczny. Większa część tych związków ma małą wartość, skutkiem czego pozostały dotąd w swej najprostszej postaci. Ze statystyki, którą Richter od r. 1883 aż do obecnej chwili wciąż prowadzi, przekonywamy się, iż produkcya w tym kierunku bezustannie wzrasta. Nowych związków opisano corocznie od 1883—98 r. 3,580, od 1889—1900 r. 6,270, od 1901—2 r. 6,700. W pierwszem wydaniu „Słownika związków węgla“ M. Richtera z 1883 r. mamy pomieszczonych związków tylko 20,294, w drugiem, z 1896 r.—74,174. W dopełnieniu zaś z 1901—2 r. podaje już ich ilość na 100,000. Zaprawdę cyfra to pokaźna, lecz wobec miliardów i bilionów teoretycznie możliwych związków, jest w istocie mizerną tylko sumką. Tę olbrzymią i wciąż wzrastającą ilość związków zawdzięczamy dysertacyom na stopień doktora, dla którego otrzymania każdy z ubiegających się obowiązany jest wytworzyć nowy związek. M. Richter nie wątpi o użyteczności tego zwyczaju. „Bogactwo naukowe każdego narodu—pisze on—i odpowiednia temu jego sprawność gospodarcza znajdują się w ścisłej zależności na gruncie wiedzy technicznej. Tak, powiem nawet, że wielka ilość, wynalezionych przez Niemców pochodnych związków organicznych znalazła swoje uzasadnienie w kwitnącym stanie niemieckiego przemysłu chemicznego.“ I sądzi on dalej, że zaniechanie tych poszukiwań w robotach wyższych zakładów naukowych odbiłoby się niekorzystnie na tym właśnie przemyśle. W znaczeniu literackiem zaś ta wciąż rosnąca ilość ciał mniej się okazuje pomyślną. Przedstawienie bowiem czytającej publiczności obrazu olbrzymich zdobyczy na tem polu staje się niemożliwem. „Ograniczyć się przyjdzie do niewystarczających kompilacyj słownikowych, dających jak najzwięźlejsze określenie i prowadzonych kosztem państwa.“

KRONIKA.

Złapany. W strzępach leżą szaty kapłanów naszej prasy, podarte z bólu i zgrozy na administratora *Niwy Polskiej*, który zażądał od dyrektora Filharmonii, p. Rajchmana, płatnych ogłoszeń w zamian za przyjazne „usposobienie dla jego osoby“ i instytucyi. Przypadkowo znajdujący się, czy też — jak twierdzi oskarżony— umyślnie ukryci za portyerą pp. Reinstein i Filipowicz, wysłuchawszy bezwstydnych propozycyj i targu, nagle ukazali się w gabinecie i stwierdziwszy na miejscu, jako świadkowie, fakt szantażu, opisali go następnie w gazetach.*) Dyalog, w którym ze strony „kupca,“ dobierającego się do pełnej kieszeni, padły wszystkie słowa cynicznego handlu, ma naturalnie silną woń moralnej padliny; ale czy to jest rzeczywiście wyjątkowa plama błotna na białym płaszczu naszej prasy? Według nas, ów płaszcz jest od tych plam pstrokaty. Najpowierzchowniejszy obserwator zauważy w Warszawie wydawnictwa peryodyczne, których mała poczytność dziwnie kontrastuje z wielką liczbą płatnych ogłoszeń. Otóż łatwo dostrzedz, że te wydawnictwa uprawiają albo skandal, albo reklamę. Pierwsze za pomocą takich samych, może tylko ostrożniejszych dyalogów, niż świeżo opublikowany, grożąc nieprzyjaźnią i zemstą lub obiecując życzliwe „usposobienie,“ drugie za pomocą zręcznie wsuwanych do tekstu chwalb — zdobywają inseraty. Panegiryki dla jubilerów, piwowarów, cukierników, mydlarzy, krawców itd., niby bezinteresownie przyszywane do artykułów, wierszyków i konceptów, są właśnie sposobami dojenia mleka z wymion ogłoszeniowej krowy. Ileż to razy słyszymy, że ktoś, systematycznie napastowany przez jakieś pismo, posłał mu kilkunastorublowy anons — i zapewnił sobie spokój. Więc takich rycerzy przemysłu dziennikarskiego, takich jastrząbków, jak ów złapany w potrzask, jest już u nas pokaźne stadko, tylko że inne nie są tak głupie i tak szczere. Umieją one udawać niewinne skowronki i unikać sideł. Nie mamy tedy nic przeciwko wyławianiu i tępieniu tego gatunku, tylko przeczymy, ażeby on się ograniczał do jednego okazu. Najuroczystsze zapewnienia, że cała gromada jest zdrowa i że w niej znalazła się tylko jedna chora owca, nie pomogą do uzdrowienia owczarni. Jeżeli się chce mieć odwagę, trzeba mieć całą i nie odsłaniać prawdy po kawałeczku.

Siła rozrodcza ludności polskiej w zestawieniu z innemi narodowościami, a nadewszystko z niemiecką przedstawia się nader imponująco w danych statystycznych prof. dr. Włodzimierza Czerkawskiego. Z obliczeń jego za dziesięciolecie 1890—1900 wynika, że przyrost ludności w Królestwie Polskiem wynosi 10,7, w Ks. Poznańskiem 21,8, w Prusach Zachodnich 20,2, Mazurów prusk. 17,9, w Galicyi 14,1, w regencyi opolskiej 23,0. Jeśli powyższe dane zsumujemy, to przeciętna cyfra rozrostu Polaków wyniesie 17,95, czyli najwyższa w świecie. Najsilniejszy przyrost wykazują Polacy pod panowaniem pruskiem, najsłabszy — w Królestwie. Przyrostowi temu nie dorówna żaden naród w Europie. Rozrodczą siłę Galicyi przewyższają tylko Kroaci; równą jej wykazuje Holandya i Norwegia, a prawie równą — Niemcy i Rosya. W zestawieniu z innymi ludami Europy W. Ks. Poznańskie daje najwyższą sumę urodzeń — 48,0% na 1,000 osób.

Wiadomości społeczne. Przereklamowana wystawa fotograficzna w Warszawie dała Tow. dobroczynności 15 rb. 61 kop. czystego dochodu.

— Dnia 6 b. m. osada Sosnowiec z przyległemi wsiami została uznana za miasto.

— Zatwierdzono ustawę kasy pogrzebowej w Zduńskiej Woli.

— Ministeryum skarbu poruszyło sprawę utworzenia szkół ruchomych, oraz organizacyi towarzystw budowy mieszkań tanich dla robotników fabrycznych.

— Głód nawiedził Szwecyę północną; klęska dotknęła najbardziej Lapończyków.

Szkoły i wychowanie. Kurator okręgu naukowego, warszawskiego otrzymał świeżo zatwierdzone przepisy o organizowaniu wykładów dla dorosłych obojej płci przy zakładach naukowych. Zgodnie z przepisami, lekcye tego rodzaju mogą być urządzane w celach studyowania przedmiotów ogólnokształcących lub specyalnych, dla każdej płci osobno: przy szkołach miej-

*) Redakcya *Niwy polskiej* wyparła się nazajutrz solidarności ze swym administratorem.

skich typu 1872 r. i przy szkołach przemysłowych. Organizatorami w Królestwie Polskiem mogą być zarządy miejskie i gminne, towarzystwa i osoby pojedyncze, prywatne oraz władza naukowa. Pozwolenie na zorganizowanie wykładów przy szkołach początkowych daje inspektor szkół ludowych, na urządzenie lekcyj przy szkołach z ustawą 1828 r. — dyrektor szkół, przy szkołach jedno i dwuklasowych — kurator okręgu. Wybór przedmiotów wykładowych, godziny zajęć, ilość lekcyj i sposób wynagradzania nauczycieli oznacza inspektor szkół ludowych, w porozumieniu z założycielami kursów. Osoby, które ukończą całkowity kurs, będą otrzymywały świadectwa, bez żadnych jednak praw i przywilejów.

— Ministeryum skarbu poleciło zamknąć prywatną szkołę S. Kowalskiego w Warszawie.

— Niższe szkoły techniczne zaliczone zostały do II kategoryi przy odbywaniu służby wojskowej.

— *Warsz. Dniewn.* donosi: Ministeryum oświaty wyjednało za pośrednictwem rady państwa rozkaz Najwyższy na wydanie z funduszów skarbowych 40,000 rb. na urządzenie szkoły rękodzielniczo-przemysłowej w Łodzi. Postanowiono wypłacać na utrzymanie po 12,000rb. w latach 1902, 1903 i 1904. Sumy powyższe przeznaczone są jako uzupełnienie sum, wydatkowanych już na przekształcenie szkoły wyższej, rzemieślniczej, łódzkiej na rękodzielniczo-przemysłową. Wyznaczenie zasiłków dodatkowych nastąpiło na skutek przesilenia przemysłowego, trwającego od r. 1900, które wywołało cały szereg bankructw i postawiło najsumienniejsze firmy łódzkie w położeniu nienormalnem, pozbawiwszy szkołę rękodzielniczo-przemysłową w Łodzi zasiłków, osiąganych drogą ofiarności miejscowych fabrykantów i kapitalistów.

— Studentom politechniki oznajmiono, że ci, którzy życzą sobie podczas wakacyj letnich wyjechać na praktykę do fabryk w Moskwie i Petersburgu, powinni uprzednio uzyskać pozwolenie generał-gubernatora moskiewskiego, za pośrednictwem oberpolicmajstra lub naczelnika m. Petersburga, i to tylko po odebraniu od powyższych osób pozwoleń, zarząd politechniki warszawskiej będzie wydawał bilety urlopowe do miast wskazanych.

Wiadomości naukowe. Komisya archeologiczna, której przekazano dozór nad wszystkimi istniejącymi w państwie zabytkami historycznymi, z powodu braku środków na utworzenie dozoru nad temi pamiątkami, zwróciła się do władzy wyższej o wyznaczenie na ten cel 30,000 rb. rocznie, z tej sumy na ochronę zabytków w Królestwie przeznaczono 2,700 rb. Suma ta ma być zużytkowana całkowicie na utrzymanie dozorców ruin.

— Na konkursie *Gońca Handlowego* na „Podręcznik dla Towarzystw wzajemnego kredytu" nagrodę (250 rb.) przyznano p. J. Rozieckiemu z Piotrkowa.

— D. 21 b. m. otworzony będzie w Petersburgu pierwszy wszechrosyjski zjazd w sprawie geologii praktycznej.

Z muzyki. Za pośrednictwem zarządu Filharmonii warszawskiej, ogłoszony został z fundacyi Konstantego Wołodkiewicza, konkurs na operę o charakterze swojskim, z uwzględnieniem motywów ludowych. Jako libretto służyć ma poemat „Marya" A. Malczewskiego. Nagroda 5,000 rb. i prawo własności. Termin nadsyłania partytur upływa z d. 1 lipca 1904 r.

— „Lutnia" warszawska ogłosiła konkurs na utwory na chóry męzkie *a capella*, bez towarzyszenia, przystępne dla kółek śpiewaczych. Nagród siedem: 40 rb. za utwór niezwrotkowy, dwie po 25 rb. i cztery po 15 rb. za utwory zwrotkowe. Termin do 30 kwietnia r. b., kompozycye nadsyłać należy do składu nut Gebethnera i Wolffa.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zezwoliło na udzielenie pożyczek właścicielom żeglugi na nabywanie statków, zbudowanych w fabrykach krajowych. W Królestwie Polskiem zaliczki wydawać będzie warszawski kantor Banku państwa oraz jego oddziały w Łomży, Lublinie i Płocku.

— W r. b. ma być w całem państwie 73 wystawy rolnicze. Z liczby tej 35 będzie czysto rolniczych, 19 rolniczo-przemysłowych, 35 hodowli inwentarza, 9 ogrodniczych, 2 pszczelarskie, 4 mleczarskie, 2 rybołóstwa i 4 hodowli drobiu.

D. 30 maja r. b. otworzona będzie w Poniewieżu wystawa rolniczo-hodowlana, wyrobów rzemieślniczych i przemysłu domowego.

Poczta. Główny zarząd poczt wydał nowe przepisy dla urzędów pocztowych, które pośredniczą w przyjmowaniu prenumeraty na pisma przychodzące z zagranicy, jak również na wydawane w Rosyi.

— Dnia 14 b. m. wchodzi w życie nowe rozporządzenie, na zasadzie którego listy pieniężne, przekazy i przesyłki wartościowe do wysokości 200 rb. będą odsyłane do domu za opłatą 10 kop.

Koleje i komunikacye. D. 4 b. m. wprowadzoną została bezpośrednia komunikacya osobowa pomiędzy Warszawą i Odesą. Cała podróż odbywać się będzie pociągiem pospiesznym na linii Nadwiślańskiej, a w dalszym ciągu kuryerskim, bez przesiadania i trwać będzie 26 godzin.

Zdrowie publiczne. Wniesiony został do ministeryum spraw wewnętrznych projekt podwyższenia we wszystkich szpitalach powiatowych gub. Warszawskiej opłaty za leczenie z 32 do 50 kop. dziennie od osoby.

Katastrofy. Pożar zniszczył warsztaty elektryczne, urządzone wielkim kosztem przy wodospadach Niagary, które wytwarzały siłę elektryczną dla kolei w Buffalo i Lockport oraz dla fabryk położonych nad rzeką. Skutkiem tej katastrofy tysiące rąk utraciło zajęcie.

— Około brzegów Danii zatonął okręt przewozowy „Apona" wraz z załogą, złożoną z 24 osób.

Zmarli. Dr. Adolf Rothe, w Warszawie.

— Książe Jerzy Lobkowic, długoletni przywódca szlachty wiernokonstytucyjnej w sejmie czeskim, następnie marszałek krajowy. Jego staraniem powstała Akademia nauk oraz Muzeum czeskie w Pradze.

— Ludwik Wojno, inżenier, w Warszawie.

— Rudolf Delbrück, b. minister pruski, w Berlinie.

— George Stokes, matematyk, i fizyk profesor uniwersytetu w Cambridge.

— Józef Kopf, artysta-rzeźbiarz, Niemiec, w Rzymie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. B. w Kaliszu. Pan Aleksander Świętochowski jest od pewnego czasu chory; ma on zalecony dłuższy wypoczynek, skutkiem którego „Liberum veto" uległo przerwie.

Panu M. W. w Kijowie. Z nadesłanych kawałków korzystać nie możemy. Są to rzeczy ładne, lecz dla naszego pisma nieodpowiednie.

E. Kujawie. W kawałkach nadesłanych niema nic; widocznie „pcha" Pana jakaś zdradliwa sugestya do marnowania czasu na bezużyteczne wysiłki. Szczerości niema też wcale, jest tylko niezręczne jej udawanie.

Stud. fil. S. P. w Charlottenburgu. Nadesłanych wierszy drukować nie będziemy. Duże usterki co do formy, co do treści — banalne, uczuciowo — martwe, w określeniach — wielokrotnie niedorzeczne. Przy tej sposobności musimy powtórzyć to, o czem już nieraz zawiadamialiśmy, że wypłacanie nam należności lub zwracanie kosztów zagranicznemi markami pocztowemi — jest zupełnie bezcelowe, gdyż marki te nie przedstawiają dla nas żadnej, rzeczywistej wartości.

Panu E. K. w Solcu. Przyznajemy słuszność dowodzeniom Sz. Pana, sądzimy jednak, że w wielu, jeśli nie we wszystkich razach, rozumne, wytrwałe zabiegi i usiłowania prywatne zło choć cokolwiek ograniczyćby mogły. Niestety jednak, my potrafimy utyskiwać, ale pracować wytrwale nie umiemy.

Panu W. B. Owe dwa odczyty Al. Świętochowskiego nie były nigdy wydane oddzielnie. Niech Pan poszuka w „Przeglądzie Tygodniowym" z tych lat.

Panu B. Zal. w Błagowieszczeńsku. Al. Świętochowski nie napisał dzieła pod przytoczonym tytułem. Prac Renana w polskim przekładzie niema. Co robić z pieniędzmi?

OFIARY

Na wpisy z Kazalińska: E. Choromański rb. 50; E. Usakiewicz rb. 10; A. Sadowski rb. 2; K. Grudziński rb. 1.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Января 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.